



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

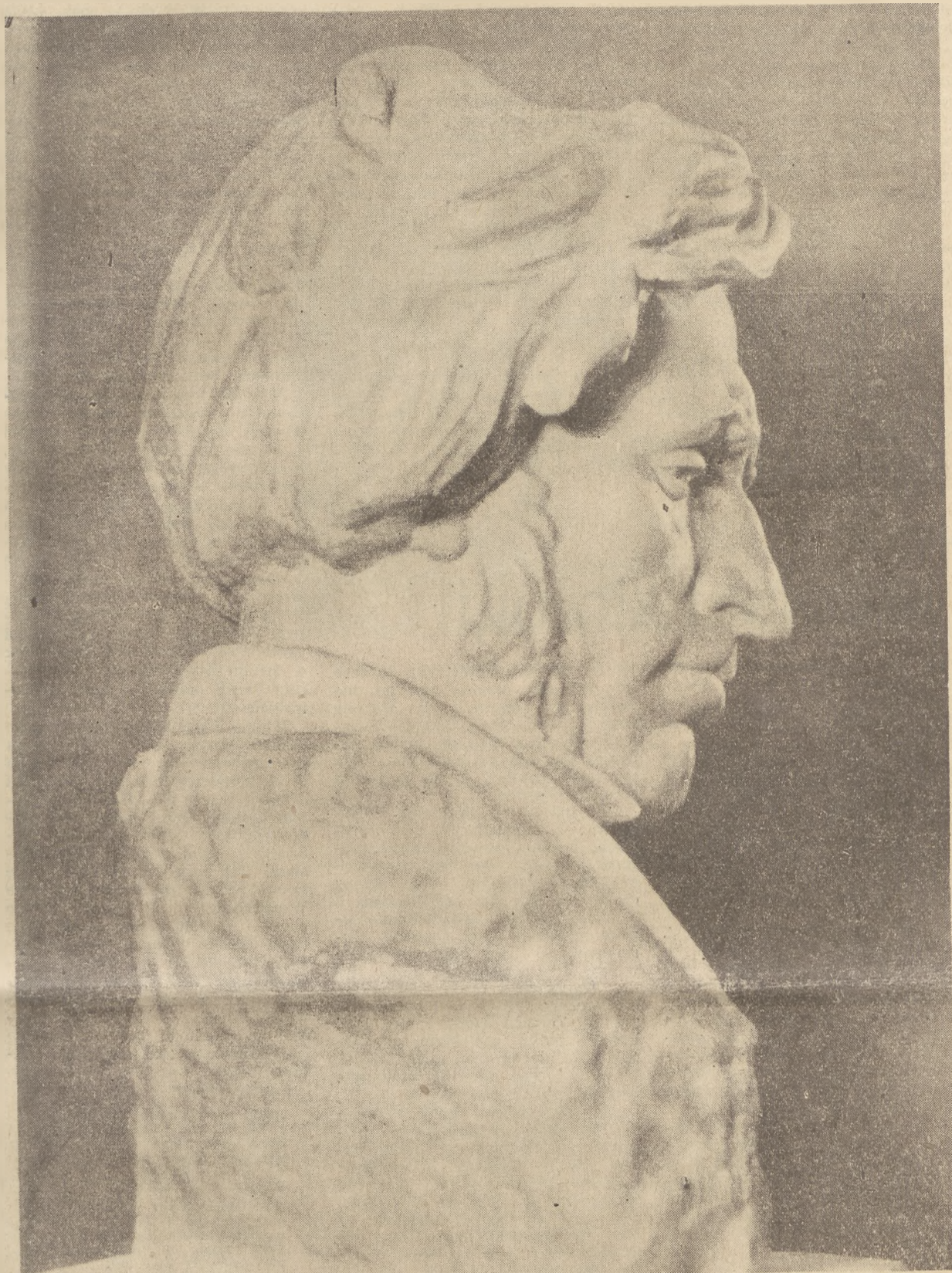
Cena 1.20 zł – 8 stron

Warszawa, 11 września 1955 r.

Nr 37 (285) Rok VI

LESŁAW BARTELSKI

Wielkość Nowogródka



Popiersie Adama Mickiewicza dłuta radzieckiego rzeźbiarza M. Robermana.

„Nowogródek cóż ma w sobie dla mnie oprócz pamiątek?”

Mickiewicz do Jana Czeczota

Na obiedzie, wydanym z okazji naszego pobytu przez Radę Powiatową Nowogródka wiceminister Kultury BSRR P. W. Lutorowicz wniósł jeden jedyny toast: „Za poezję Mickiewicza, która nie dzieli, lecz łączy nasze narody”.

17 lipca 1955 r.

Wnocy nad miastem i okolicą przeciągnęła gwałtowna, krótkotrwała burza, pełna wyładowań elektrycznych, nasycająca pożądaną wilgocią nazbyt już duszną atmosferę panujących od paru dni upałów. Niebo pękło od piorunów, ich odświat załamywał się na omytych deszczem listkach młodych lip, rosnących przed oknami hotelu. Rano jest mglisty, rozbite w chmurach słońce przedziera się nikłymi promieniami. Na ulicach pusto. Niedziela. W taki rano, kiedy miasto trwa jeszcze w uśpieniu, wydaje mi się, że za chwilę uderzą dzwony. Cicho jest czymś więcej niż rozczarowaniem, staje się po prostu koniecznością.

Zostawiamy poza sobą Mińsk. Obserwujemy z dala, odwracając się do tyłu, sylwetki charakterystycznych wież na przydworcowym placu, potem — już poza lotniskiem — szosa opada w kotlinę i miasto niknie. Ciemny asfalt skrzy się szklwem, droga rozszczepia się i prowadzi w kierunku południowym na Słuck. Arnold tęsknym spojrzeniem, nie bez pewnego rozczarowania, patrzy na drogowską, skręcamy jednak w kierunku zachodnim. Na Brześć. Szosa nowa, niedawno zbudowana, poznać to chociażby po tym, że po obu jej stronach żółte platy ziemi nieporośniętej jeszcze piaskiem. Krajobraz prawie jak pod Ołtowiec — płaski, gdzieś tam piaszczyście wydumuchy, tyle że przestrzeń szeroka. Roślinność skąpa — chęrlawe sosenki lub niskie brzoźki po zagajnikach. Monotonia. Jest w tym ponadto jakaś nuta przejmującego

smutku jak w „Pieśniach rosyjskich” Liadowa.

Nie wiem, czy na skutek jednostajności podmiejskiego pejzażu, czy też wczesnej pory jestem śpiący. „Że życie ludzkie jest tylko snem, zdawało się już niejednemu. I mnie również uczucie to stałe towarzyszy”. W tych słowach młodego Wetera jest wiele romantycznej przesady, ale nie tak wiele, by mi się nie podobały. Tkwi w nich bowiem ta cząstka prawdy, która sprawia, że warto je traktować na serio. Ten mój stan wpołsenny jest formą niecierpliwości, a ta towarzyszy nam stale. Każdego bowiem dnia naszej podróży odkrywamy coś nowego aż wreszcie pod wieczór namiętność

poznania przygasa i przechodzi w znużenie.

Mijamy teraz wsie i osiedla, słyszę ich nazwy, żadna z nich nie utrwała mi się w pamięci. Dopiero reaguję na Dzierżyńsk, dawne Kojdanowo, a to dlatego, że czytałem przed wyjazdem historię walk napoleońskich i właśnie pod tymże Kojdanowem został rozbity korpus generała Kosseckiego późną jesienią 1812 roku przez wojska Czyczagowa, działające na Litwie. Ta porażka zdecydowała o upadku tak ważnego punktu jakim był Mińsk. General Bronikowski, gubernator miasta uciekł do cofającej się Wielkiej Armii, Mińsk wraz z nieprzelicznymi zapasami dostał się w ręce Rosjan.

W magazynach, na które przeznaczono kościoły Dominikanów, Bernardynów, Benedyktynów i Franciszkanów, znaleziono taką ilość przewiezioną przez liwerantów francuskich pszenicy saraceńskiej, że zapas jej starczył dla oddziałów Czyczagowa na cały miesiąc. Kto wie czy ta drobna z pozoru potyczka nie zadecydowała w jakiejś mierze o tragiczności odwrotu spod Berezyny?

Ziemia ta jest przedpoiem Rosji i dlatego nie omija jej żadna wojna. Dzierżyńsk, strony rodzinne wielkiego rewolucjonisty, odbudowany został po wojnie. Spośród drewnianych domków, stojących przy szosie, z rzadka świecą białym tynkiem murowane budynki.

Potem Stolpce. Dziura. Z przedwojennej, sztucznej świetności tego przygranicznego miasta, nie zostało wiele. Może budynki koszar, nie więcej. Przekraczamy Niemen po starym drewnianym moście; rzeka płynie w łakach, przy niej stare topole. Dopiero na sławnym trakcie brzożowym z Nieświeża do Miru, gdzie rządy wysokopiennych drzew o białej korze, z gałęziami jak ręce bezradnie opuszczonymi, zacieśniają przed nami horyzont, odczuwam narastające podniecenie. Czeka mnie bowiem spotkanie z niezeczywistym a jednocześnie z tym, co jest osiągalne zmysłami. Nie znam tych stron zupełnie, jestem tu po raz pierwszy i czuję się w tym krajobrazie jakby zagubiony. Jedynym moim — jakże wielkim! — przewodnikiem jest Mickiewicz, nie licząc rzecz jasna towarzyszy podróży. Ale i oni po raz pierwszy jadą do Nowogródka. Mimowolnie nachodzi mnie niepowstrzymana chęć skonfrontowania wspaniałych strof mickiewiczowskich z tym, co zobaczę, nie wiem jednak co robić? Czy nie lepiej unikać wszelkich takich zestawień i porównań, są to światy o odmiennych kształtach i barwach — rzeczywistość i jej odbicie. Talent pisarza przemienia w trwałą formę wyobraźniową to, co wprawdzie sami poznajemy, a co właściwie jest zwyczajnością życia, podniesioną przez sztukę do rangi najwyższej — piękna. Zestawić, porównać to znaczy w jakiejś mierze odebrać pięknu jego walor. Czy słusznie? Boję się w takim wypadku rozczarowania. Nawet jeśli chodzi o Mickiewicza, chociaż w istocie odnosi się to do moich własnych wyobrażeń.

Mijamy zamek po-radziwiłowski w Mirze, nie zatrzymujemy się. Na niewielkiej wyniosłości, poza ziemnymi wałami, usypanymi niegdyś w celach obronnych, sterczą ciężkie baszty o zgaszonej czerwieni murów, wyniosłe ostrołupy z białymi wykuszami okien. Widziane od strony miasteczka przypominają poniekąd strzaskaną katedrę gotycką lub mroczny tum przeniesiony tużaj znad Wisły. Taką wieżę mogła być śmiało kamiennym schronieniem Aldony. Wyblyska spoza zieleni srebrna tafla jeziora — pozostałość wodnego systemu obronnego. Zamek był wielokrotnie palony i niszczone, zdobywały go wojska ruskie, szwedzkie, a nawet francuskie. Dziś jest tylko jedną z pamiątek po czasach, które minęły, pamiątek — jak sądzę — dość kłopotliwych. Czas go wyszczerbił, o jakiegokolwiek zaś użyteczności trudno mówić. Stoi

(Dokończenie na str. 3)



Odbudowany dom Mickiewiczów w Nowogródka.

GEORGI LEONIDZE

Z PODRÓŻY PO OJCZYZNIE

(Zapiski w notesie)

1. Ananur

Wtem jak zasadzka, tuż przed nami
Wyrosla twierdza Ananur,
Drogę zagradza zębiskami
Poobalanych strzelnic mur.

Milczy forteca, w rozpadlinach
Zamierzchle straż pustych baszt,
I toń Aragwi ciemnosina,
I noc w podkowach wielkich gwiazd.

2. Kachetia

Gdy o świcie w doliny spojrzalem,
Olśnił widok z górskiego sklonu:
Te Achmety lepiancezki małe,
Niżej — pyszny mur Bachtironu.

Jak do panny swatowie z swatkami,
Gdy z pieśniami zjeżdżają w konkury,
Ustroily swe zbroza lasami
Przed Kachetią wysokie góry.

Nad lasami obłoki zawisły.
Gdy się słońce przez nie przebiło —
Jak do milej zrywały się myśli
I wiersz chlusał z nieznaną siłą.

Na pastwiska w rozległych dolinach
Cień swój rzucił orzeł lejący,
Jak po uczcie obrus w plamach wina —
Kraj Alzani pod nim kwitnący.

3. Wieczór w starym Tbilisi

Nad tbiliskie ogrody, siedliska
Baśni, nad tbiliskie ogrody,
Nad ogrody Tbilisi, urwiska —
Czarna chmurą zleciały drozdy.

Zmierch zapadał. Patrząc w niebo czyste
Miasto w ciszy — znieruchomiał,
Gdy potokiem świergotu i świstem
Po parkanach w dół się polało.

4. Kartalińska noc

Kiedyś wypowiem — te noce nad Kurą,
Łozinę w srebro — pięknie wysłowię,
Czarne bawoły z opaloną skórą
I cichy szelest trzciny ryżowej.

Tędy przewiały wojen huragany,
I ziemia w plusku rzeki odwiecznym
Opatrująca swoje ciężkie rany
Sledzi splaw tratwy na wód powierzchni.

5. Czad pożarów Timura

Jest cizsa zmierzchu błękitniejąca,
Na śnieżnych szczytach gór rozlana,
A w dolinie w oparach gorąca,
Jak na dnie rozgrzanego dzbana.

Gród, ogień, cienie, czerń nor ponura,
Łuna — i nagle, czad w powiewie.
I znowu śni mi się wiek Timura
I lecę na pomoc — jak drzewiej.

PATRZĄC W OCZY (2)

ZBIGNIEW FLORCZAK

Chcemy zobaczyć emigrację

To znaczy — zobaczyć ludzi na emigracji. Nie emigracyjne gazety, ale tych, którzy je czytają. Uderzający jest fakt, że poprzez emigracyjne gazety nie można dojrzeć emigracyjnych ludzi. Robi się tam w różnych wersjach zapiekłą politykę, wytacza się procesy rzekomej technokracji i maszynizacji, w ogóle wytacza się mnóstwo procesów cywilizacji, gładzi się o Franc-Jozefie, jakby to było wczoraj — ale o ludziach na emigracji wspomina się w zdawkowy sposób.

Kim są ci ludzie, z czego i jak żyją? Przecież to pytanie kapitalne, od którego może należało zacząć całą tę rozmowę. Jeżeli najpierw usiłowaliśmy scharakteryzować emigracyjny sztyl przybity nad drzwiami i zająrzeć w mniej wspaniałe wnętrza — to po części wina struktury emigracji. Z daleka emigracja narzuca się głównie swoim hasłem, najpierw docierają do uszu jej trąby, a do oczu jej odezwy i to w sumie daje pozory twarzy emigracji. Nieprawda, to nie jest twarz emigracji. Gdzieś na drugim planie są dopiero ludzie. Pokiśnięci z własnymi dziejami, o polskim nazwisku, które stało się zbędnym dźwiękiem, które straciło swą funkcję. Gdy tam, pod Sidney czy koło Norymburgi, czy nad flamandzkimi kanałami, ktoś mówi: Janie Jasiński — to chyba brzmi fałszem. Sądzę, że poza swym naturalnym otoczeniem nazwiska ludzi tracą prawdę swego brzmienia.

Jacy są ci ludzie niewidoczni za stołem gazet? Może dobrze prosperujący, zaprzyjaźnieni z nowym miejscem i środowiskiem, wyrozumiale uśmiechnięci — gdy pojąją swoje nazwisko w dostosowanej fonetyce: Żażęski. Potem uśmiech zniknie, bo środowisko potraktuje na serio to umiowne brzmienie. Dawne brzmienie zdecznie, jak pies zamknięty w mieszkaniu, z którego wyjechali właściciele. Zdradzone nazwisko, zdradzony pies, który miał ludzi za przyjaciół. Proszę o wybaczenie mi tych skojarzeń, kwalifikujących się, być może, do kiepskiej poezji. Obcowanie z emigracją, nawet na odległość — raczej rozstraja. Gdyby był tu ze mną Pankowski, ten by znalazł właściwe słowo... Tyle godzin przegadaliśmy z nim w Brukseli o jakimś słowie, a czasem nie o całym słowie, tylko o jakimś jego odwróconym boku, którym dotykało otoczenia. A jak dziś brzmią te twoje sanockie słowa, Marianne, z sanockiego gąszczu otulonego pieśnią wyciągnięte niemal za skórę — jak szczeniata, które idzie się topić? Odebrałeś swojej pieśni przestrzeń, wiersze pisane po polsku poza tym krajem nie mają dobrej akustyki. Studiować życie emigracyjne w prasie emigracji, to prawie beznadziejne. Mam te gazety na biurku. Gdy czasem zamykam oczy i odejmuję palce od tej bibuły, nawiedza mnie nieco metaforyczna idea, że emigracja to nade wszystko druk — dużo do drukowania.

Nagrodę emigracyjnego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — „za reprezentowanie polskiej kultury” — otrzymał dr Jerzy Zubrzycki, który jest autorem książki o socjologii polskiej emigracji. Niestety, nie udało mi się przeczytać tej książki. Natomiast w radio Free Europe był wywiad z Zubrzyckim i liczyłem, że coś może przeniknie na antenę z treści tej książki. Ale socjolog powiedział tylko tyle: „Najważniejszy wniosek z mojej pracy, to stwierdzenie, że emigracja nasza jest zdrowa... Każda, nawet najmniejsza, grupa Polaków objęta jest działalnością polskich duszpasterzy. W polskich osiedlach i obozach parafie zarządzają nabożeństwami niedzielne”.

Kto mi powie, ile jest obozów dipisów? Nie wiedziałem, że jest ich aż tyle — około dwustu. „Narodowiec” z sierpnia donosi: „Wędług obliczeń obserwatorów amerykańskich znajduje się ciągle jeszcze na terenie europejskim i na Bliskim Wschodzie około dwieście obozów dipisowych, w których warunki życia są bardzo ciężkie i zniechęcają uchodźców do dalszego oczekiwania na poprawę bytu materialnego w wolnym świecie”. To już naprawdę należy do socjologii. Był jeszcze w paryskiej „Kulturze” szkic Miłosza o problemie uchodźców w obozie Valka pod Norymburgą. Czasem coś wynika z ogłoszeń, z notatek. Poza tym wciąż utyka ta relacja o kadrach emigracji.

Zbieram luźne obserwacje z własnych wspomnień.

To są raczej socjologiczne typy, typy z różnych szczebli emigracyjnej drabiny. Pomijam dygnitarzy. Za to nie pomiję wielkiego społeczeństwa działaczy i urzędników, tej masy odwrotnie proporcjonalnej do rzeczywistości emigracyjnych zajęć i działań. To są ludzie nie robiący absolutnie nic, a od lat zając. W związku z tym można by rozróżnić typ emigranta profesjonalnego, człowieka, który po prostu utrzymuje się z emigracji. Odebrać mu emigrację, to odebrać posadę. Między urzędnikiem a działaczem nie ma tam chyba wielkiej różnicy psychologicznej. Znałem tych ludzi o imponująco czynnym życiu. Prenumerowali wszystkie gazety emigracyjne i chodzili na

wszystkie zebrania. Zebrania — to kardynalny przejaw oficjalnej emigracji, jedno z jej płuc, założywszy, że drugim płucem są gazety. Otóż moi znajomi potrafili mieć co dzień zebranie albo odczyt. Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę liczbę partii i stowarzyszeń. Np. w Brukseli istniało Stowarzyszenie Polskich Służących — „Polka”. Może istnieje nadal.

Posacy w różnych „Orbisach”, różnych „Czerwonych Krzyżach” są jednym źródłem utrzymania. Drugim są stypendia i zasiłki. Jest wreszcie dla najsprytniejszych handel i różne jego powojenne peryferie. Niekiedy znowu żyją z pożyczek. Istnieje na emigracji jakiś łańcuchowy system pożyczek, z których, okazuje się, można żyć lata.

Nie wiadomo, jak wielki jest procent emigrantów, którzy musieli zrezygnować z uprawiania zawodu wyuczonego. To zapewne większość. Takie zawody, jak prawnicy, pracownicy kultury — zawody związane organicznie z rodzimym językiem — nie mają szans. Pewnym echem, chyba wciąż za słabym, odbił się w naszej prasie list Zofii Kossak umieszczony w londyńskim „Życiu”: — „Autor traktujący poważnie siebie i swą pracę, nie może wyżyć z literatury. Jeżeli nie wyciąga dłoni do swoich lub obcych po wsparcie, musi pracować fizycznie.” Ludzie pióra nie żyją tam z pracy literackiej. Podobno Melchior Wańkowicz ma jakąś farmę i hoduje kury. Andrzej Bobkowski dorobił się w Guatemali

przeziębiorstwa modelarskiego i robi tzw. interes.

Jako zjawisko typowe dla emigracji trzeba przyjąć nie te wypadki „urządzenia się” — a raczej wypadki przymusowej zmiany zawodu, rezygnacji ze swej fachowości nabytej kosztem wielu lat poprzednich. Węć zjawiskiem typowym jest życiowa regresja a nie rozwój, jakieś marnotrawstwo społecznej energii — a nie pomnożenie jej. Najgorsze, że emigracja przestaje to rozumieć jako regresję, ludzie dochodzą w tym do jakichś upokarzających granic naiwności. Opowiadano mi kiedyś, miał to być ponętny przykład, że pewien Polak wyjechałszy do jednego z państw Ameryki Południowej zaczął pracę jako pomocnik przedsiębiorcy, który posiadał wózek, osła i wózł kamienie czy ziemię. Po roku ów Polak miał już sam osła i wózek.

Nie ma sensu snuć tych wspomnień. To jakieś schodzenie nie tylko w tył, ale i w dół. Osobnym zagadnieniem jest młoda inteligencja zawodowa, która wykształciła się za granicą od początku do końca, bez użycia polskiego słowa, polskiego znaku drukarskiego. Trudno powiedzieć, jakiego rodzaju i o ile prawdziwy jest związek tych ludzi z Polską. Chyba nie jest to związek ani myśli, ani tym bardziej wyobraźni. Może pozostał on w sferze jakichś polskich akcesoriów i tyle.

Emigracja, czyniąca niezmierny hałas wokół spraw politycznych i narodowych, nie chce znać głośno, w jak dużym stopniu życie mas

emigracyjnej oddala się od kryteriów politycznych i staje się zwykłą kwestią przystosowania, się, urzędzenia w obcym środowisku. Krótko mówiąc, prasa emigracyjna, najbardziej księżycowa ze znanych w historii, nie chce widzieć, że emigracja znaczy dziś praktycznie — wynarodowienie.

Ostatecznie prasa jest najbardziej widoczną manifestacją życia emigracyjnego. Wachlarz jej stylów i rodzajów jest szeroki. Od „Gazety Niedzielnej”, gdzie jacyś organizatorzy, jakieś babki kościelne jeszcze dziś nie dają spokoju Boyowi — od „Dziennika Żołnierza” uprawiającego z urzędu publicystykę wulgaryzującą — aż do subtelnie redagowanej paryskiej „Kultury”, gdzie znajdują gościnę indywidualności i samotnicy. Oczywiście ta prasa o tyle tylko odbija emigracyjną rzeczywistość, że udowadnia, jak bardzo brak emigracji wspólnej, konkretnej; koncepcji, wspólnej myśli. Jest tam dużo procesów myślowych, i to żmudnych, wiele obsesji, i jest mnóstwo rozmaitych postaw. Te postawy i procesy mają we wzajemnym stosunku wszystkie możliwe różnice, a tylko jedną cechę wspólną. Tym wspólnym mianownikiem jest ordynarna czy przebiegła, podbudowana filozoficznie, niezacja komunizmu. Emigracja jest koncepcją negatywną.

Nie jestem zwolennikiem cytowań. Cytat zawsze prawie kłamie, bo się go wyrywa z jego otoczenia,

(Dokończenie na str. 7)

DANUTA ZABŁOCKA

Szkoła uczuć czy szkoła fizjologii?

wadzenie poruszanej problematyki obyczajowej jedynie do korektury fizjologicznych następstw życia płciowego było nie przypadkiem, ale świadomym założeniem.

„Myślimy tylko o tym” — olenia taką postawę inny czytelnik NK, Czesław Kuśmierzak — „jak uniknąć nieślubnych dzieci lub przedwczesnych małżeństw. Stąd wynika, że mamy pozostawić wyuzdaną młodzież w tej samej niezdrowej atmosferze. A taka atmosfera prowadzi do zwyrodnienia, do prostytucji i łajdactwa. Czy, nie na to nie możemy zaradzić?”

Myślę, że szkodliwość wielu wypowiedzi w dotychczasowej dyskusji polega na tym, że sprawy obyczajowe sprowadza się w nich wyłącznie do dialogu między potrzebą fizjologiczną, a sytuacją ekonomiczną, a wreszcie do korektury następstw fizjologicznych argumentowanej koniecznością natury ekonomicznej przy zupełnym odrzuceniu jakiegokolwiek próby oceny, czy sytuacja istniejąca wśród młodzieży (bo o nią przecież głównie chodzi, a nie o siedemdziesięciolatków) jest nowa, nasza, socjalistyczna, czy obca, przy zupełnym odrzuceniu jakiegokolwiek próby czynnego wsparcia założeń moralności socjalistycznej. Rozwiązania problemów obyczajowych muszą być elementem ogólnej, toczącej się u nas walki o socjalistyczne stosunki społeczne i socjalistyczną moralność. Wszelkie przedstawianie na korekturę następstw, na kamuflażu retuszu rzeczywistości jest nam obce i może zadowolić tylko myślenie burżuazyjne, które nie ma do przekazania ludziom żadnych wartości, a w działaniu swoim nie czuje się na siłach sięgać społecznych przyczyn zjawiska.

GRANICE CHAOSU I BEZRADNOŚCI

„Kobiety i młodzież” — mówił Lenin — „cierpią szczególnie dotkliwie z powodu chaosu panującego obecnie w dziedzinie stosunków płciowych... Chociaż nie jestem bynajmniej ponurym ascetą, to jednak tzw. „nowe życie płciowe” młodzieży — a często również dorosłych — nierządno wydaje mi się na wskroś burżuazyjne, jest to jak gdyby odmiana zwyczajnego, burżuazyjnego domu publicznego. Wszystko to nie ma nic wspólnego ze swobodą miłości według naszego, komunistycznego rozumienia. „Sytuacja ta... stała się zgubą wielu młodzieńców i dziewcząt”.

Pozwól sobie zauważyć, że i teraz będzie nie od rzeczy wskazać, iż nie tylko brak środków antykoncepcyjnych w drogeriach, ale istniejący u nas chaos w dziedzinie stosunków płciowych jest jednym z głównych powodów nieporozumień. Nie będzie od rzeczy dlatego właśnie, że z naszej dyskusji aktywny społeczny czerpie bezpośrednio wytyczne dla swego postępowania.

Znawcy rzeczywistości lubią posługiwać się zwrotem „zefempowskie moralizatorstwo”. Z tymi to przedstawicielami chorej wyobraźni — a to zarówno z racji skłonności do mitotwórstwa, jak odrealnionego optymizmu — chciałabym popolemizować nieco.

Miesiąc temu rozmawiałam z zetemponskim instruktorem spraw młodzieży robotniczej, jednego z najwskazywanych polskich ośrodków przemysłowych. Miał za sobą nie najkrótszy staż organizacyjny i partyjny, nie można było wątpić w jego uczucia wewnętrzne, oddanie wyznawanemu światopoglądowi,

Otóż ów zetemponski instruktor, opowiadając o przeżyciach z okresu wyzwolenia, nie szczędził pod swoim adresem wypowiedzanych ze śmiechem epitetów:

— Ależ to mnie był bałwan! No mówię wam, taki dureń, że jak mi się przypomniał, to ech, jakby to się teraz powtórzyło... to ja bym wiedział, jak się zachować, ale wtedy...

W pierwszych miesiącach 1945 r., jako 20-letni chłopak, wracał z Niemiec do Polski. Po drodze spotkał dziewczynę 18-letnią. Odtąd szli razem.

— Bardzo się bała — opowiadał. — Nocowaliśmy zawsze razem, w jednej izbie. I ja jej nawet nie tknąłem. Ale nie tylko to — na nią przecież ciągle ktoś miał chrapkę. W nocy tałała mnie za ramię, ja zrywałem się bronić. I tak dojechalismy do Łodzi. Ale frajer byłem, co? Teraz to już bym umiał się zachować! I ja bym wziął swoje i ktoś by jeszcze skorzystał...

Oczywiście, czynnikiem utrwalającym istniejący chaos w życiu płciowym młodzieży jest nie tylko brak ocen: jest również dezorientacja i poglądy fałszywe, z którymi się nie polemizuje. Wśród postępowej młodzieży inteligentycznej bardzo żywotny jest relatywizm. Nawet wśród członków partii można usłyszeć poglądy, jakoby w postępowaniu czy ocenie życia osobistego należało się kierować rachunkiem „większego szczęścia”, który prosto, bezbłędnie, co i bezdusznie, można przeprowadzić z ołwikiem w rękę, np.: jedna stara kobieta skrzywdzona, jeden starszy pan i młoda kobieta szczęśliwi albo zadowoleni — racja po ich stronie. Tym rachunkiem, „większego szczęścia” można wytłumaczyć i prostytucję i wszelkie łajdactwo — sformułował go przecież Mill, a Russel zrekapitulował stwierdzeniem, że „poza ludzkimi pragnieniami nie ma kryterium moralnego”. Charakterystyczne jest również, jak ze słownictwa naszej młodzieży zaczęły się ułaniać jako zwroty i przeżyte terminy: „odpowiedzialność”, „wierność zasadom”, a nawet „słowność”.

Wydaje mi się, że skierowując uwagę aktywną społeczną na sam chaos w życiu płciowym młodzieży, jako źródło wielu nieszczęść — większość rozwiązań musimy wciąż pozostawiać w sferze intuicji. Nasze uogólnienia w zakresie moralności życia osobistego ciągle nie nadążają za rzeczywistością. Nie mogą jeszcze sprostać faktowi, że rewolucja sięgnęła po całego człowieka, że ogarnia wszystkie dziedziny jego życia. Czas chyba już rozwinąć dla człowieka życia „fundamentalne sformułowanie o obowiązku społecznym” i tezę, że „wolność to świadomość wszystkich konieczności”. Warto o tym przypomnieć naszym filozofom, esseistom, publicystom — wyzwalając ZMP i szkołę do oceniania istniejącego chaosu w oparciu o normy etyki socjalistycznej i do zdecydowanej linii postępowania.

SZKOŁA UCZUĆ CZY SZKOŁA FIZJOLOGII

Czy uświadamianie seksualne młodzieży jest szkodliwe? — pyta podstępnie w cytowanym artykule Konaliński.

W poprzednim artykule — „O miłości jednoznacznie” — zarzucałam Parzyńskiemu, że w jej artykule, proponującemu to masowe uświadamianie, nie można odczytać, jakie rozwiązania są słuszne, na czym, na czyich pojęciach i obyczajach mamy je opierać. Nie mam zaufania do „uświadamiania” w ogóle,

JAN STRZELECKI

W sprawie dla dorosłych

Wielu z nas śni snem może nieco dziecięcym o niestannej podróży po Polsce, o niestannym spotkaniu z wszystkimi naj-

poważniejszymi sprawami ludzi, „ziemi, o którą nie graliśmy w kości, o którą milion padł w bitwach”. Wielu z nas cierpi na bezustanny niedosyt wiedzy o codziennym życiu ludzi, wprzęgniętych w losy tego wielkiego zamaru, który nie był jakiego realista nazwał niegdyś „szturmowaniem nieba” — to znaczy mówiąc językiem, do którego przywykliśmy tak jak do referatów — wprzęgniętych w losy budownictwa socjalistycznego narodu. Wielu z nas wie nie od dziś i nie od wczoraj, że historia socjalistycznej Rewolucji nie jest historią mędrców władających czarodziejską szpulą, z której ku podziwowi świata rozwijają same złote, prawidłowe nitki, pozwalające z łatwością przejść przez uwikłany labirynt epoki światowych wojen i proletariackich rewolucji. Wielu z nas wie, że lew nie jest jagnięciem, a kobyłka historii nie jest anielicą, która jada z ręki. Wielu z nas wie, że komuniści również umierają, i że nonsensem jest widzieć w komunizmie wyzwolenie od wszelkich ludzkich niepokojów. Wielu z nas rozumie, jakie historyczne prawo każe czerwonej nadziei pokoleń fabrykować tyle beczek czerwonego lakieru. Wielu z nas mówi „gdy byłem wierzącym” myślał o czasie, w którym potrzeby swojej żarliwości przyjmowali za obiektywną gwarancję doskonałej zgodności idei i

rzeczywistości. Wielu z nas wie, że są w Polsce ludzie spracowani, „ludzie czekający na papierkę, są ludzie czekający na sprawiedliwość, są ludzie, którzy długo czekają”. Wielu z nas wie, że czeka na wiersz, który by obrósł „w troski, kolory, zapachy tej ziemi”, na powieść, która by jasne prawdy naszej sprawy umiała przeprowadzić przez całą trudność naszego czasu, wypełniając postulat Nalkowskiej, a w literaturze naszej stała się literaturą dla dorosłych.

Czytam więc „Poemat dla dorosłych” — z gorliwością głodnych ludzi, z nie byle jaką nadzieją. Ze słowo dotrze w końcu do tej warstwy przeżył weli z nas, którą ukształtowało uczestnictwo w bardzo dorosłych sprawach tego czasu. Ale nie czekamy na litanie o zmniejszanie nad szarym człowiekiem ery socjalizmu, nie czekamy na księgę zgryzoty, na dziennik topielców, na pienię mordowanych przez sepy abstrakcji, wśród których nie brak było sepow estetyzujących. Nie budzi w nas współdzwięku notatnik poetyckiego przerażenia wobec mary — „dusz nieufnych, spod między wyrwanymi, wół rozbudzonych i wpol obłąkanych”, wobec nowoludzkich dziejów grzechu, wobec owej „Polski nieczłowieczej, przemysł budującej”, widzianej oczami, którymi Żeromski patrzył na mękę wszelkiego stworzenia w kopalniach Dąbrowskiego Zagłębia.

Słów odpowiednich sprawom dzisiejszego czasu nie stworzy serce gorzycą nasycone, choć jest w nim godne miejsce nie tylko dla fanfar. I nie wyrazi ludzkiej siły — siły wszystkich ludzi spracowanych, ludzi przemęczonych, ludzi młodych i dorosłych, którym w socjalizmie zdarzyło się przeżyć nie tylko skaleczenie palca, którzy słoną wodę nazywali słoną — otóż siły ich i niepokojów, „które ich wszystkich wzruszają”, nie wyrazi traktat złożony z trzynastu pieśni zgryzoty i jednej modlitwy, nawet, gdyby jak w swoim czasie „Traktat o metodzie”, nosił opaskę — tylko dla dorosłych.

Trudno z poetą wieść spór o jego uczucia. Uczuć nie wymienia się tak jak argumentów. Ale tak wielki fresk narodowych żalów, jakim jest „Poemat”, jest nie tylko komunikatem o stanie uczuć poety. Jest propozycją, jest tezą o tym, co widzieć i o czym pisać przyszyło dorosłym, jest tezą, występującą ze swoim programem wiedzy o Polsce Współczesnej, i jest — chce czy nie chce — swoistą szkołą uczuć i nie tylko uczuć. Wchodzi w krag naszych oczekiwań na literaturę towarzyszącą ludziom w najpoważniejszych konfliktach narodowych współczesności, literaturę, którą można by odetchnąć, tak jak oddycha się rozmową z kimś mądrym i bliskim.

I co przynosi?

Niech wiedzą ludzie, komu rodzi się dom po domu, czy magnatom stalowym, wariatom atomowym, czy sobie i ludowi Warszawa się sposobi.

Nasz staromiejski gotyk nasz renesans i barok, nasz monument surowy, nasz fronton koronkowy jak spód igit balcerek inacez na nim błyska dachówka serca bliska

Oto obraz wcześniejszy zawarty w wierszu, o którym nie zawiadamiano nas, że jest utworem dla dzieci. W „Poemacie dla dorosłych” dominuje ta nuta widzenia Warszawy —

Place się wysja jak kobry domy się pływają jak pawle daje mi stary kamyczek niech się odnajdę w Warszawie —

Jeśli przy czytaniu „Poematu” narzuca się uparcie to zestawianie, to dlatego, że strofy warszawskie poddają nutę całemu utworowi. Stanowią preludium nastroju, którym przetrkane są wszelkie wszystkie kolejne kanzony — ton żalony, pełen gorzkiego objawień, ton człowieka, który nie może się odnaleźć nie tylko na Świętokrzyskiej ulicy.

Nie warto się tu wdawać w dyskusję nad architekturą, bo nie o to tu chodzi. Chodzi o barwę i treść poetyckiej syntezy, a ta wyznaczona jest nastrojem człowieka, który wrócił do domu z podróży — już nie po Świętokrzyskiej, a po kraju jak długi i szeroki — z podróży, w której nie spotkał nic ponad „wypchniętą nagle z mroków średniowiecza masą wędrowną, Polskę nieczłowieczą”, ludzi cierpiących w powolnej męczarni, wiele spraw smutnych, nieco cyfłów i odrzuconych służące odwracaniu uwagi od ziemskich udręczeń. Nawet Dante nie zdołałby nas przekonać, że to jedynie polskie kwiaty dziesięciu lat socjalizmu. Te perspektywy można nazwać perspektywą heroicznej historii. Nie jest ona chyba jedyną alternatywą widzenia spraw na sposób czytanie dla dzieci. Jeśli poeta uwikłany w nieprostą dialektikę swojej własnej duszy przechodzi trudny okres, cieszymy się, że przestał już wierzyć w rozum trywmane pod szkłem i nie strzelał do niego salwami z wielkich dział.

Ale powiedzmy mu, że droga tego poematu nie jest drogą płomieniowego rozumu, nie jest drogą tych, co przytaczając słowa z jego własnego wiersza — oiają — dziś również dziś tym bardziej — w ołę nadziei.

Jan Strzelecki

(Dokończenie na str. 7)

Wielkość Nowogródka

(Dokończenie ze str. 1)

Wśród pól niby dekoracja do romantycznej tragedii o średniowieczu, opustoszały zamek czekający na swego burszaka.

Miasteczko Mir, znane przed wojną z głośnych jarmarków końskich, których głównymi dostawcami byli Cyganie, w przeciwnieństwie do zamku jest małe, drewniane, skromne i parterowe. Szare domki swym kolorem harmonizują z piaszczystą ziemią, na której je postawiono. I właśnie w tym miasteczku przekraczamy granicę prowadzącą do krainy Wielkiej Poezji.

Za Koryciami krajobraz odmiennie się, zaczyna falować wzgórzami i zieleni staje się intensywniejsza, pełniejsza uroku. A może to tylko złudzenie, wywołane wzruszeniem? Droga ocieniona wierzby, na widnokręgu wiatrak, martwy dzisiaj, bo święto, brzozy o pniach tęgich w barwie tonięjącego śniegu. Na rozstajach krzyż drewniany z przytwierdzoną chorągiewką białą, czarno brązowaną, z czarnym krzyżem pośrodku. Czy za chwilę nie usłyszę głosu Guślarza? Tymczasem gra w uszach powietrze, szosa opada w dół i samochód nabiera pędu. Dokoła wzgórz, ciemne zielenią, powolne jak fale o zachodzie.

Do tej ziemi tęsknił w wielkim kamiennym Paryżu, zawsze dla niego obcym ten, który przekazał nam jej piękno. Czy nie pisał: „przenoś moją duszę utęsknioną”? Tęsknił właściciel do najlepszych lat, do dzieciństwa i młodości, po niełatwym życiu pełnym rozczarowań. Kochał te okolice, zdawało mu się, że nie ma na świecie piękniejszych i obdarzonych bardziej nadzwyczajnymi cechami. „Szyszki w lasach nowogródzkich — pisał do przyjaciela — są bardzo dłuższe i cięsze; stąd wypada, że mogą przeciw wiatru lecieć”. Jakby to było rzeczywiście ich cechą wyróżniającą.

Pierwsze domy miasteczka, piękna piętrowa szkoła, jaśniejąca biała fasada, kapryfolium pnie się po murach, ulica znowu podchodzi ku górze. Nad otwartą przestrzenią kołchozowego bazaru ruiny zamku. Zieleni, mnóstwo zieleni, zza płotów świecą słoneczniki. Przy ulicy wysokie jesiony. Dachy miasteczka pierzają się jak skalne stopnie. Błękitne niebo odbija się od dachów niby świecąca blacha.

Wjeżdżamy w śródmieście, gwarne i rojne, na chodnikach gromadzą się mieszkańcy, podążając w stronę bazaru kołchoznego. Przed naszymi oczyma widzimy rynek, za skwerem z pomnikiem Lenina pośrodku jakiś biały domek z podcieniami, wieże kościołów i cerkwi ponad miasteczkiem. A niedaleko nas, za drewnianym parkanem, na lekko opadającej — jar piaszczysto jasny pod błękitnym dachem DOM.

*

Nieraz ogień trawił te mury jakby to miało być ich jedynym przeznaczeniem. Miasto było stare, wpisane w kroniki litewskich książąt, a mimo to drewniane, więc o pożar nie trudno. Ciasnota zaułków jak i gęstość przybudówek różnego rodzaju, w gospodarstwie przydatnych, łączących posesje drewnianymi ścianami sprawiała, że wystarczała iskra z kominą, by z zamieszkałej dzielnicy pozostały zgłiszcz. Nie miał też większego szczęścia Fiodor Tycyna, burmistrz nowogródzki. Ledwie odkupił od Filipowiczów domek murowany, stojący u wylotu zaułka nazwanego w latach późniejszych Pożcietowym, gdy w 1751 roku dom spłonął ze szczeniem, zaś posesja przeszła niebawem w ręce niejakiego Czechowicza, który prawem zastawnym przejął ją na Wolskich.

Adam miał wtedy niespełna sześć lat, gdy w marcu 1804 ojciec jego stał się posiadaczem, a tym samym obywatel Nowogródka. Ale w istocie była to parcela niewielka, położona wprawdzie w śródmieściu, jednak w miejscu bynajmniej na owe czasy nie reprezentacyjnym. Opadała stromo zachodnim stokiem ku starej dzielnicy, za parkanem sączył się wąty strumyk, brudną powierzchnią, na której osiadał pył zaułków, mieniła się sadzawka. Ojciec poety wybudował domek drewniany, który spłonął. Na jego fundamentach wystawiono murowaniec. Pomógł w tym jeden z aptekarzy nowogródzkich, przy czym na pokrycie kosztów wziął go na pewną ilość lat w dzierżawę. Mickiewiczowie zamieszkali w oficynie, z jej to dachu przyglądał się Adam ogromnemu pożarowi miasta, w którym prócz magazynów wojskowych ogień zniszczył osiemnaście domów mieszkalnych oraz staroswiecki modrzewiowy kościół św. Mikołaja. Wtedy to napisał „Ode o pożarze”, pierwszy wiersz w swoim życiu.

Mając siedemnaście lat opuszcza Adam dom rodzinny, udając się do Wilna na studia, potem do Kowna na posadę. Powraca do Nowogródka rzadko, ojciec już nie żyje; w osiem lat po nim, jesienią 1820 roku, umiera matka. Jeden z tych powrotów do miasta wyrwyła mu wyznanie: „...Pobiegłem na nasz niegdyś dziedziniec. Żal mnie nie pozwolił uważać spustoszenia, które było wkoło mnie; oficynkę, w której mieszkaliśmy, zastaliśmy otwartą, ale ciemną. Postaw się na moim miejscu. Nikt mnie nie spotkał, nie stylszalem owego: „Adam, Adam!” Tak mnie zaleciał, że długo nie mogłem odechnąć” (Do Jana Czechozota, z Tuhanowicz, ok. 10/22 sierpnia 1821 r.).

I odtąd dom będzie powracał niezaspokojonym moliwym w jego pamięci.

Przed wyjazdem do Rosji, Adam wraz z braćmi Aleksandrem i Je-

rzył przekazuje aktem rejentałnym zarząd domkiem w ręce najstarszego, Franciszka. Za jego udział w powstaniu, domek został skonfiskowany i zdewastowany przez stacjonujących w nim żołnierzy. W roku 1838 Zarząd Gubernialny w Grodnie zdecydował się wystawić posiadłość na licytację, z której nabył go adwokat Julian Bijott za sumę 2.285 rubli. Parcela powiększyła się, gdyż Bijottowie dwukrotnie dokupowali ziemi.

W 1863 roku spłonęła oficyna, zaproszili w niej ogień mieszkający tam uczniowie na stacji. Pożar wywołał wielkie zamieszanie w rosyjskim garnizonie, gdyż sądzono, że wybuchło w mieście powstanie. W osiemnaście lat później spłonął również i murowany dom, zostały tylko ściany i sklepienia. Odbudowano go w 1887 roku, z zachowaniem tego samego rozkładu wewnętrznego, jakiego cechował go za czasów Mickiewiczów. „Choć nie już nie pozostało z tego co było — skarży się nowogródzki nauczyciel, Pawłowicz — nie oprócz kilku topoli, co oślinaly



...Świtez tam jasne rozprzestrzenia łono...

może kolebkę poety, i kilku starych gusz w ogrodzie, co cichym szepcieniem zdają się ze sobą gwarzyć o tym co było kiedyś, jednak jest to najpiękniejsza w Nowogródku posiadłość“.

*

Cóż można napisać dzisiaj o tym domu? Że stoi napowrót i ściany jego pachną jeszcze świeżym wapnem. Pożar zniszczył go w czasie wojny i zostały — jak przed laty — fundamenty. Dom stał na pustym, ogolonym z drzew placu, nie ma już tych topoli, uchowała się zaledwie jedna grusza. Wokół domku również puska, ani śladu po starych dzielnicach. Wchłoniął je ogień, zaś fundamenty wyburzone niedawno i na ich miejscu powstanie park.

Ten odbudowany z pietyzmem domek, którego wystawienie kosztowało 300 tys. rubli, przejęto już z rąk budowniczych Muzeum. Będzie ono liczyć sześć sal, tyle ile pokoiów liczył ongiś domek. Każda poświęcona będzie innemu okresowi z życia poety. Dzieciństwo i młodość w Nowogródku, okres wileński, Kowno, proces Filomatów. Rosja, pięć lat wygnanegożycia. Potem tułaczka po Europie — Weimar, gdzie młody Mickiewicz odwiedza Goethego, Drezno, gdzie powstaje III-cia część „Dziadów”, ta ostra ocena ówczesnej sytuacji politycznej na ziemiach polskich. Paryż, Szwajcaria, skąd niespokojny tułacz wywozi kilka wstrząsających swą lapidarnością li-ryków; Italia bez słońca, wina i radości, po której do niej jedzono, Italia walki i rozczarowań, jak mgłą osiadłych po ostatnie dni życia. Te sale w reprodukcjach i dokumentach zamkną porywy i kłęski człowieka, który szukał prawdy, a któremu — być może — zdawało się, że znalazł w sobie jedynie niepowieszne przeznaczenie. Sława pisarza pada wielkim cieniem na tych, z którymi się stykał; choć nie każdy stanie się Odyńcem, każdy chce się

Mickiewicz żył na przełomie dwóch epok i każda ukształtowała go na swój sposób. Po klasycyzmie wziął żelazną dyscyplinę myślenia, z romantyzmu siłę uczucia. Przedstawiał w swej poezji różne światy, był współczesny nie przez wybór tematyki, lecz wyborem idei. Współczesność rozumiał głębiej od swego otoczenia, i to co w jego życiu było czymś tak osobistym, że prawie nie wyrażał, umiał przekształcić na miarę ogólnoludzka. Jest współczesny przede wszystkim przez stosunek do świata. Przez surowość, jednoznaczność i bezkompromisowość tego stosunku.

Pamiętam jak przed dziesięciu laty, w tym okresie gwałtownych dyskusji, które raniąc mózg jak odłamki szkła długo pozostawały w pamięci, spytał mnie Mieczysław Jastrun, co sądzi o Mickiewcu. Po zbyt krótkim zastanowieniu odpowiedziałem, że jest on dla mnie poślegiem ze spisu, który trudno dotknąć. Byłem przekonany, że życie jego było jednolite, bez wahań i rozterek, jakim każdy z nas podlega. Ale sam nie znałem dobrze życia, ani tego brzemienia, jakim jest pi-sarstwo, wszystko zdawało się być dla mnie jasne i uproszczone. Nawet Mickiewicz, a może właśnie przede wszystkim Mickiewicz trwał w mojej świadomości zakrepiły jak już ostygła lawa. Poezja wydawała mi się wtedy czymś wtórnym, ważnym było jedynie życie. Jeszcze miałem w oczach obraz płonącej Warszawy, jeszcze świeża ranę po poległych przyjaciółach. Poezja nie

mogła być wtedy nadzieją, chyba gdy wyrażała gorycz. Dopiero po latach, wracając niejednokrotnie do jego poezji, i za każdym razem odczytując ją na nowo (i w tym chyba tkwi wielkość pisarstwa) — widzę wyraźnie jak płonie ta lawa, która była już dla mnie ostygła, jaki niesie w sobie żar.

Niełatwo tak wspaniałe życie oddać przy pomocy reprodukcji, choćby najdoskonalszych. Dlatego dla mnie dom ojca jego, Mikołaja Mickiewicza, będzie tym najcenniejszym eksponatem, który najbardziej porusza naszą wyobraźnię i serce. A przecież o to jedynie chodzi.

Inne eksponaty są czymś uzupełniającym, nadającym przy pomocy zachowanego szczegółu ów niepowtarzalny smak epoki w której żył poeta. Eksponatów, we właściwym tego słowa znaczeniu, zresztą nie ma wiele, nigdy ich też wiele nie było. Zegar rokokowy, białe złoceńskie, znalezione wśród ruin, w piwnicy pod spalonym stropem, przechowywany tu przed wojną, dziś orestauraowany sięga czasów wileń-

kiej sławie własną osobą przysłużyć. Zacięra się więc na każdym kroku prawda na rzecz zmyślenia. Ale często przecież nie chodzi nawet o autentyczność przedmiotów, epoka z jakiej pochodzi świadczy już na ich korzyść. Są w jakiejś mierze wykładnikiem kultury materialnej tamtych czasów, jest to już znakiem, że poeta miał z tym coś wspólnego.

Kiedy i w jakich okolicznościach powstało Muzeum Mickiewiczowskie? Historia jego jest dość krótka i nader wymowna. Komitet Mickiewiczowski zawiązał się dość wcześnie, bo w latach dwudziestych. Jednak otwarcie Muzeum nastąpiło dopiero 11 września 1938 roku, a więc na niespełna rok przed wybuchem wojny. Jak to? — może ktoś spyta — więc przez dwadzieścia lat Dru-giej Rzeczypospolitej nie znaleziono funduszy na założenie tak ważnego Muzeum? Trzeba podkreślić, że Muzeum dysponowało jedynie funduszami ze składek społecznych lub z tego, co przeznaczali na ten cel magistraty miast Nowogródzcyzny, lecz główną przeszkodą był brak lokalu. Istniał domek rodziny Mickiewiczów, zachowany w niezłym stanie, właściciel jego sprzyjał zamierzniom Komitetu, ale mieszkala w nim pewna ziemianka, o której „Słowo” wileńskie pisało jako o „znicu polskości” na tych ziemiach, nie dodając jednak, że ten „znicz” wzbrał turystom kategorycznego wstępu na dziedziniec, gdyż burzyli spokój mieszkańcom domku. Ponadto furtka była zawsze zamknięta na klucz, dostać się więc tam nie było łatwo do tego stopnia, że sąsiedzi nazwali posesję... Watykanem. Był to zresztą delikatny przytyk do wrodzonej pobożności owego „znicza”. Przesuwając z roku na rok ostateczny termin opuszczenia domku, osoba ta przez osiem lat uniemożliwiała powstanie Muzeum.

Z eksponatów tego przedwojennego Muzeum poza zegarem rokokowym zachowała się makieta pomnika paryskiego dłuta Bourdella, kupiona od wadowy po rzeźbiarzu za 15.000 franków. Zniszczone najo-mniej zostały w latach wojny wszelkie dokumenty jak listy, papiery rodzinne Mickiewiczów, pamiątki po Maryli itp. Nie zachowała się także historyczna łopata, którą prezydent Wojciechowski rzucił pierwszą grudę ziemi na kopiec. Nie zachowała się, mimo iż była jednym z ważniejszych eksponatów obok modelu chaty wiejskiej z Nowogródzcyzny. Pod jej właśnie strzechę miały trafić w myśl marzeń poety jego dzieła. Czy trafiły? Ilość wydanych egzemplarzy przed wojną dzieł Mickiewicza nie świadczy o tym.

W historii Muzeum jest jeden niez-nany, a może przemilczany fakt. Oto 16 września 1920 roku rozkazem nr 40 Nowogródzki Komitet Rewolucyjny wziął dom Mickiewicza pod ochronę z myślą o przyszłym Muzeum. Do tych więc tradycji nawiązuje obecne kierownictwo Muzeum. Tekst rozporządzenia (prikazu) wyryty na murowanej tablicy, będzie się mieścił u wejścia.

*

Jest południe, od jasnych ścian domku słońce odbija się srebrnym reflekssem. Trzeba stąd odejść. Już czas. Jeszcze raz ogarniam okiem tę nagą piaszczynę, pełną kopców ziemi jak na wysypisku, jeszcze raz rzucam okiem na miasteczko. Ciągłe czekam na dzwony, ciągle czekam na szpizowy dźwięk, podniosły, jak gdyby wzywający do wielkości. Błękitne niebo dotyka dachów odbudowanych domów. W ciszy letniego



Rozkaz Nr 40 Nowogródzkiego Powiatowego Komitetu Rewolucyjnego 16 września 1920 roku.

a) W mieście Nowogródka mieszkał niegdyś znany całemu światu wielki pisarz polski, poeta Adam Mickiewicz. Został po nim dom mieszkalny, biblioteka itd. b) Władza radziecka, będąc obrońcą kultury i oświecenia pamięta o tych, którzy działali na tym polu, oraz zachowuje i strzeże ich pamięć, uwieczniając przez wybitne dzieła. W związku z tym ROZKAZUJĘ:

§ 1. z domu, w którym mieszkał Adam MICKIEWICZ włączając całe urządzenie i bibliotekę — natychmiast usunąć mieszkańców i przekazać go Powiatowemu Komitetowi Oświaty Ludowej.

§ 2. Wydział Kwaterunkowy w trybie nagłym winien wprowadzić do nowych mieszkań wysiedlonych z zabytkowego domu MICKIEWICZA.

§ 3. Wydział Oświaty Ludowej* przystąpi natychmiast do organizacji w tym domu Muzeum albo Biblioteki Ludowej im. Adama MICKIEWICZA.

§ 4. Wydział Oświaty Ludowej zbierze znajdujące się na terenie powiatu książki i inne przedmioty pamiątkowe należące do MICKIEWICZA i włączy je do inwentarza Muzeum albo Biblioteki.

ANEKS DO § 1: Meble i inne przedmioty znajdujące się w tym domu a wniesione doń po wkroczeniu naszych wojsk, podobnie jak i inne sprzęty nie mające nic wspólnego z MICKIEWICZEM — mogą być zabrane.

Przewodniczący Powiatowego Rewkomo — Mertens
Sekretarz — Lapiński

południa słychać jak przelatuje ważka. Widać stąd strzaskany kościół św. Michała, ex-jezuicki, a później dominikański, przy którym mieściła się szkoła Mickiewiczów. Opodal niego stoi pod dachem budynek z szarej cegły. Nowa gospoda.

Rozmawiam jeszcze z dyrektorem Muzeum, Leonardem Sokół — Kutylowski. Dogadaliśmy się z nim szybko. Arnold odnajduje w nim swego kolegę pułkowego z I Armii, ja zaś — Warszawiaka. Nie można tego jednak brać tak dosłownie. Bowiem Kutylowski pochodzi z tych stron, skończył przed wojną liceum humanistyczne w Baranowiczach, gdzie później pracował w miejscowym Muzeum Regionalnym. W Wojsku Polskim, do którego został odkomenderowany z Armii Radzieckiej, służył aż po rok 1948. Powró-

cił do Nowogródka z Warszawy. Chciałby ją zobaczyć ponownie, pamięta ją z tych dni, które były najgorsze — pamięta ją jako miasto ruin i zgłiszcz. Przymyka oczy, gdy opowiadam mu o Warszawie, widzę, że się uśmiecha, choć oczy ma jakby przymglone tęsknotą. Mówię bowiem o Łazienkach.

*

Trzeba stąd odejść.

„Skąd mi tu żal niewczesny? — staję u podwojów, — Raz jeszcze do samotnych wracam się pokoiów, Jakbym czegoś zapomniał“.

Czy i ja będę teraz tęsknił do Nowogródka? Do miasteczka, z którego całej świętości historycznej pozostało jedno — Mickiewicz.

Lesław Bartelski

ANATOL STERN BRACIA CYGANIE

1
Czy pamiętacie, jak wieszcz kędzierzawy
podniósł w stepie krwawy nóż Aleka?
Odtąd codziennie spalają się trawy,
odtąd co wieczór ktoś zwie mnie z daleka.

Odtąd ktoś krąży daleką kurzawą,
odtąd coś huka, gdy stoję pod borem —
i żali się łzawo, i błyska się krwawo,
i woła, woła mnie, woła z uporem.

Być może, iż tylko snem było miasto
i wszystko, co chciałem w słowach uwięzić.
Być może, wciąż idę w dal nocą jasną
i odprowadza mnie księżyc.

Może w beczulce ktoś zaszpurował
me życie, by wrzucił je w wino.
A ja polną drogą, koniakrad i kowal,
z tą samą wciąż idę dziewczyną.

Czy nie dlatego słyszę w noc ciemną,
jak za wozem skrzypiącym swym idą?
I czy nie stąd ich władza nade mną —
i serce drży na ich widok.

2

Nad Loarą — cygańskie anioły Rouaulta.
Gitary skrzydlate fruwią po wypach.
A nasi? Cygani na skrzypkach. Przy kotłach.
A nasi? Szkło wyssać, a potem się wyspać.

Schlani są słońcem Cyganie z Kordoby.
Spił Nawe szampana chór z Pitra, cygański.

A nasi? Spirytus. I sok — dla ozdoby.
Gdzieś takim marzyć o winie szampańskim!
Dzwonią Marie i dzwonią Teresy
w czarnym warkoczu, co zmiąja się wije.
Za ich taborem włożą się biesy
i wścibiają do garnków ryje.

Czarnymi gzami brzęczą nad gniadym,
lub na owczarka bies kły wyszczerzy.
I nagle aż zakurzyły się zady!
To między śniadymi piersiami najady
srebrem błysnął w rzeczulce szkaplerzyk.

A Cygan przy koniach, Cygan przy kolach.
Za to biel koszul jak skrzy przy święcie!
Stare na ementarz chodzą po ziola —
jest ziele skryte, jest ziele co woła —
lecz one na każde znają zakłęcie.

Szeleszczą w drogeriach wiązką ciemieżyć,
a z buku sekretnie, spod póły — sporysz
Pan magister — okrągły księżyc
weźmie, chociaż o grosz będą spory.

A młode wróża... Piastują karty,
tasują dzieci (czy spaly z Murillem?)
Taka los czyta z buciów zdartych,
z oczu, choćwie na szczęście otwartych —
i każe królów kier wejść za chwilę.

Rzuć złoty — zmienię się w taniec znudzonej
Dziesięcioletniej w ciężkiej spódnicy.
I wtem — zakrzyżyło ogniskiem, kłosem —
już tabor frunął — i wszystko płonie!...
Czy dymkiem siwym we mgłę zielonej
nagle zabachniał stos inkwizycji?..

Lecz wszystko śpi już: i dym, i taniec.
I tylko metal gdzieś się rozkrzyżował.
To o północy tu, na polanie
lutują starzy, siwi Cyganie
mosiężny, pęknięty kociol księżyca.

I ktoś ze śpiewem tak straszny kona,
jakby śmierć swoją chciał przełać w pieśń.
To ona, ona — Cyganka szalona
woła do klona młodego: „Pieśń!”
Jastrzębi młodziak spogląda zezem.
Gwiazdy się tłoczą jak kury w kojcu.
Cyganie nie znają gwiazd nad Suezem.
Cyganie nie znają gwiazd swoich ojców.

Przed startem wozem — swą chatą niską —
stłoczeni ciasno radzą o swoim.
I żarzy się w oczach wieków ognisko,
pożar, którego nic nie oswoi.

3

A dnia któregoś, kiedyś, przejazdem
katedem gdzieś we wsi cygańskiej stanę.
Na spadającą popatrzę gwiazdę.
Spojrzę na pola, pola zorane.

To koniec Cyganów...

Żalu dziecienny,
rozplył się, odpłynął z uśmiechem bładym.
To ich początek!... To życie inne
odmłodzonej starzy ballady.

Czy mniej wróżebnie kłać będzie woda?
Czy mniej tajemny będzie szept łosu?

...Kobieta twarz młoda
w starym srebrze włosów.

WALDEMAR KIWIŁSKO

P O W I E Ś Ć K O M B A T A N C K A

Pierwsza książka Wiktora Niekrasowa była od razu legitymacją rzetelnego pisarskiego talentu. Książka powieściowa „W okopach Stalingradu” odkrywała niekłamną prawdę o powszednim trudzie żołnierskich dni frontowych i o prostocie codziennego odczucia ze śmiercią i bohaterstwem. Jest to książka, wobec której nie przechodzi się z martwą obojętnością — tyle w niej wielkich a opisanych najprościej przeżyć i przypadków.

Lektura nowej powieści pisarza, który pozyskał nasze zaufanie jest czymś w rodzaju nieumownego oczekiwania z niepokojem i nadzieją spotkania. Co przyniesie: zawał i zwłamywanie czy też odnowienie wzruszeń?

Ta powieść Niekrasowa nie przynosi zawału. Co więcej, „W mieście rodzinnym” jest chyba najbardziej interesującym utworem kilku ostatnich lat prozy radzieckiej. Utwór to niewielki, ledwie dwustronnicowy i w epoce dzieł „wzręczono obejmujących rzeczywistość”, wielotomowych, sam autor nawet zawahał się nazwać go powieścią, użył terminu skromniejszego — „opowieść”. Na miarę tej skromności jest też fabuła — mała, nierozbudowana, ograniczona do wydarzeń drobnych, osnuwających życie jednego człowieka, któremu do towarzysztwa dodał autor jeszcze kilku. Żadnych nadzwyczajności, żadnej gmatwaniny kolizji i perypetii, niewiele zdarzeń, ludzi mało, a w samej treści najwykresła proza życia.

Opowieść otwiera się obrazem zniszczonego wojną miasta i zadowoleniem się w nim pierwszego życia. Ten kto pamięta Warszawę tuż po wyzwoleniu, temu obraz będzie tak bliski, że przypomni mu własne przeżycia. Jest w tej książce bowiem, jeśli nie ta sama, to nadzwyczaj pokrewna tamtemu aura. Jest w niej nawet, nasz „warszawski” chciałoby się rzec, optymizm, w tej radości ludzi z przetrwania wojny, w przywiązaniu do życia, w tej codziennej krzątaninie, która powoli, powoli wskrzesza olbrzymi organizm martwego, zburzonego miasta.

Miasto położone nad Dnieprem. W książce wspomina się Pieczersk.

Znający litografię Tarasa Szewczeni przypomniał sobie mury budowli klasztornej w pastelowo-niebieskim tle. „Pieczerska jawa”. To Kijów, miasto rodzinne Wiktora Niekrasowa. Jest to także miasto rodzinne bohatera opowieści Mikołaja Mitiasowa.

Zaplecze biograficzne, z jakim Mitiasow wstępuje w opowieść, jest nadzwyczaj proste. Nieukończona szkoła, nauka przerwana wojną, małżeństwo z Szurą i lata nasurowego wychowania w zwalających frontowych, wreszcie niewolnolny powrót do miasta rodzinnego. Mitiasow, kapitan zwiadu zostaje ranny na ulicach Lublina i odesłany na tyły. Czeka go wędrowni po szpitalach, długotrwałe leczenie i wiele komplikacji osobistego życia.

Mitiasow powraca do Kijowa z nadzieją odnalezienia Szury. Pamięć jej przenosił poprzecz lata walki. Pośród błędów w zburzonym mieście udaje mu się wreszcie odnaleźć swą ocalałą żonę, tylko że znajduje ją z kimś innym. Ciężar samotności był najwidoczniej zbyt gorzki i wielki. Życie pod okupacją wrogów zbyt bolesne i trudne, aby nie miała go oddać komuś, kto wraz z wyzwoleniem przyszedł do niej, jak najbliższy. Oddała swe zniknięcie serce i kobiecą troskliwość ranionemu przy wyzwaniu Kijowa czerwonoarmiście.

Niekrasow nie potępia Szury, ukazuje ją w splocie psychologicznych uwikłań. Jest w tym udział także ludzkiej i kobiecej samotności. Niekrasow ukazuje pewne trudne sytuacje życiowe, w których ludzie o takich czy innych dyspozycjach postępują według pewnych znamion psychologicznych, bodźców, według rygorów, wymogów i ciężań samego życia, nie zaś podług jakichś wyabstrahowanych zasad, niewzruszonych kanonów moralności małżeńskiej, ścisłej, nieustępliwiej formuły sumienia. I nie jest to wcale przy tym likwidacją momentu walki o jasną decyzję moralną. Dla Szury jest to właśnie dramat sumienia i dramat osamotnienia.

Nie potępia także swej żony Mitiasow. Rozumie ją, rozumie samą sytuację. Przeżywa w sobie konflikt męskiej, szlachetnej, bez cu-

dzysłowy perswazji. Przeżywa swoją „godzinę smutku” (niech mi wybaczy Konwicki zapożyczenie). Myśli o Szurze, kocha ją przecie, boli więc go ta sprawa, gnębi, rozdziera. Niekrasow wyraża linią podkreślenia charakter tego konfliktu. Postępi ludzi, bieg ich spraw uzależnione są także od emocji, od uczuć. Opowieść Niekrasowa jest nie tylko frontalnym zwrotem ku psychologii spraw codziennych człowieka, jest także posioś ostatnich powieści najpełniejszym portretem człowieka, może nie małych ale najbardziej własnych uczuć. To jest w niej piękne, ta czuła dyskrekcja wobec przeżyć człowieka, to pochylene się nad troską ludzkiego serca.

Człowiek Niekrasowa jest pokazywany ze zredukowanego dystansu, z tak bliska, że wszystkie jego sprawy przechodzą w sferę przeżyć każdego, kto czyta tę opowieść. Nie znaczy to wcale, żeby ludzie Niekrasowa byli wyjęci spod praw ciężań historii. Nawet najbardziej prywatne ich sytuacje spowodowane są właśnie, między innymi, siłą wydarzeń historii.

Mitiasow jest tym, dla którego wojna już się skończyła, kombatantem. I jest to powieść o trudnym procesie wrastania na powrót w pokojowe życie. Niekrasow pokazuje, jak ludzie podobni kapitanowi Mitiasowowi musieli po powrocie z frontu zaczynać życie całkiem na nowo, to znaczy nie tylko od organizowania jego warunków lecz także od porządkowania siebie samych, od poszukiwań wewnętrznej równowagi. Wojna była rzeczywistością trudną dla ludzi i to nie tylko dlatego, że niosła śmierć i zniszczenie, rozbiła egzystencję rodzin, lecz także przez to, że pozostawiała w spadku komplikacje wielu żyć ludzkich.

Życie poza frontem zastaje Mitiasowa całkiem nieprzygotowanego do podjęcia jego trudów. Doświadczenia odmienne od doświadczeń żołnierskich nie są przyjmowane tak prosto. Na domiar, perspektywa życia jest jeszcze niezbyt jasna a kłopoty cywilnej codzienności są nie do zniesienia. Rozterkę pogłębiają jeszcze małżeńskie i uczuciowe zmątwienia. Mitiasow podejmuje więc decyzję najprostszą. Po-

wrócił na front ma go uchronić przed niewiadomą nowego życia. Na froncie wszystko jest dla niego wiadome i znane, o wszystkim się już ocierał. Ale co robić, kiedy się przestanie być żołnierzem?

„Mikołaj leżał na wznak, wpatrzony w ciemny sufit. Myślał o tym, dlaczego świat jest tak głupio urządzony, dlaczego człowiek, który wreszcie po trzech latach życia bezdomnego żołnierza ma możliwość spania pod dachem krytym blachą, nie tylko tym się nie cieszy, lecz przeciwnie, pragnie powrócić tam, gdzie marzył o tym jak o czymś nieziszczalnym, jak o śnie jakimś, a teraz, tutaj spać nie może”.

Opowieść ta podejmuje piękny problem reedukacji człowieka. Nakreślona przez Niekrasowa postać Mitiasowa jest prawdziwie wzruszającym wizerunkiem człowieka, którego pierwszą praktyką życia była praktyka wojny. Doświadczenia życiowe zdobył ten człowiek na wojnie, i ona uformowała jego charakter. Na wojnie brakło mu zaciśnięcia domowej, do której się instynktownie rwał. Stąd tak piękna wymowa uzyskuje w utworze scena z kotką w zburzonym i oblężonym Stalingradzie. Mitiasow przeszedł meżnie czasy wielkiej wojny. W mieście rodzinnym nie znalazł za powrotem owego zaciśnięcia własnego domostwa i spokoju serca, nie znalazł też najbliższej sobie osoby. Przywitała go tutaj wielka samotność. I z tym nowym życiem spotyka się Mitiasow jak z obcym, nie umie w nie wejść, nie potrafi znaleźć w nim swego miejsca.

Tę gwałtownie powstałą pustkę wypełniaja Mikołajowi po części przyjaźnie ze spotkanymi ludźmi.

Siergiej, były lotnik, szalenie śmiał, któremu do tytułu Bohatera Związku Radzieckiego zabrakło tylko zestrzelenia dwu maszyn nieprzyjacielskich. Teraz z ampuowaną nogą zajmuje się prywatnym zaopatrzeniem rynku w miękkie pantofle, obraca wielką gotówką, pije i wygłasza różne sentencje, które z pozoru kreować go mogą na cynika. W gruncie rzeczy jest to postać bardzo sympatycznie przez autora potraktowana. Chwilowo poddany żywiołowi życia,

wydobywającego się dopiero z chaosu wojennego, później zrozumie, że życie nabiera nowego biegu, idzie naprzód a wówczas nie zechce on pozostać za nim w tyle, porzuci więc swój handelek, który i tak traktował bardzo lekceważąco i trochę po sportowemu, nawróci wreszcie na drogę obywatelskiego honoru i zajęć mniej uwielbianych byłymu lotnikowi.

Anna Panteleimonowa Ostrogorska, bibliotekarka, postać odmalowana z urokiem doświadczonej życiem mądrości, przed której okiem nie ukryje się charakter ani ciężar przeżyć Mitiasowa.

Wreszcie Wala, jej córka, młoda dziewczyna, nauczycielka. Powoli wejdzie ona w życie Mikołaja na stałe. Ich stosunki wzajemne osnuwa autor mgiełką romantyczności nie rozchcianą do końca opowieści.

Pustkę swego życia Mikołaj będzie się starał również zapelnąć pracą. Dostaje najpierw zajęcie w administracji domowej. Ale praca ta wydaje mu się banalna, pozbawiona wszelkiego sensu. I w niej więc nie znajduje Mitiasow oparcia. Nuda administracyjności zawiąza go. Na wojnie było ciężko, ale tam były proste stanowcze rozkazy, nie było administracyjnej przepiślowości, które tutaj muszą wszak być jedną z nieodzownych form towarzyszących organizacji życia. Mikołajowi trudno jest się poddać owym papierkowemu porządkującym przepisom.

W końcu części pierwszej autor jak gdyby zbierał na chwilę niecierpliwość żywota Mitiasowa. Rozstaje się on z Ostrogorskimi, wraca do Szury. Ale wiadomo, że między nimi zaszczępiły się rozdziały już zbyt wielkie i że ta próba ułożenia życia nie powiedzie się Mikołajowi. Ilek jest piękna w scenach tej partii powieści, w napiętych tłumionym bólu obu stron, w tej tak wrażliwej grze psychologicznej, którą prowadzi się z troską o samopoczucie i dobro strony przeciwniej.

Wreszcie przystają Mikołajowi staję się nauka. Latami wojny wykłdy od niej, bierze się teraz za nią z pasją i uporem. Nie przychodzi mu ona łatwo, ale tu właśnie uzyskuje Mitiasow pełne poczucie zmagania się, zwyciężania swoich

ślabości, można by powiedzieć, że się sam odnajdując wreszcie. Czekając na tej drodze nowe trudne konflikty. W trakcie sporu z Czekmenem dziekanem fakultetu uczelnin, człowiekiem bezdusznym, ośchłym, niesprawiedliwym, kiedy Mitiasow śmiało staje w obronie niesłusznie posądzanych ludzi i napiętnuje postępowanie Czekmena, znajduje się o krok od usunięcia z partii.

Jest w tej powieści niesfalszowany koloryt życia. Ludzie są ludźmi, cierpią, przeżywają strapienia serc, nie robią nie takiego, żeby się wydać lepszymi niż w rzeczywistości, nawet blagują gdzie trzeba i nie trzeba, często z samochwalstwa albo i umyślnie po to, żeby innym ulżyć. Ich psychologia podawana w utworze najprawdziwiej, w jakimś surowym sześcieniu, stłumieniu uczuć odpowiada przecie samemu charakterowi tamtych czasów.

Ta książka to jeszcze jedno odważne spojrzenie na wojnę, a właściwie na jej konsekwencje. Pokazuje one tu aż do najdrobniejszych trudności psychologii człowieka wyrwanego przez szereg lat z normalnych warunków pokojowego życia. Literatura radziecka przed Niekrasowem nie pokazała tego procesu w jakimś fragmencie szerzej odtworzonym i z tak głęboką prawdą. Jest to powieść ukazująca dramaty ludzi, którzy wyszli z wojny, naprzeciw życiu.

Jest to powieść, której pasję podskórny stanowi polemika z płaskim moralizowaniem i różowaniem obrazu życia. Książka to prosta i powściągliwa, niechętna słowom patetycznym, bez wielkich fraz i niepotrzebnej wrzawy, z patosem, który wynika z samej ścisłości materiału epickiego a nie jest fingowaniem mnogością łatwych uniesień i przymiotnikówowych stwierdzeń.

Jest to nowa Odyscja, powieść o powrocie z frontu, powieść o tych, którzy walczyli, powieść kombatantska.

Waldemar Kiwiłsko

Niedawno na łamach czasopisma „Nowy Mir” opublikował Niekrasow nową swą powieść — „W mieście rodzinnym”. Książka ta natychmiast stała się przedmiotem żywej uwagi krytyki radzieckiej. Dyskusja nad powieścią Niekrasowa trwa jeszcze.

WIKTOR NIEKRASOW

P O W I E Ś Ć K O M B A T A N C K A

Z powieści pt. „W MIEŚCIE RODZINNYM”



Tam wachają chodzą rzadko i były tak przepelnione, że Mikołaj bojąc się o swoją rękę wolał iść z dworca pieszo. Dzień był jasny, słoneczny i po sześciu dobach trzęsienia się w dusznych transporcie przyjemnie nawet było przejeżdżać się ulicą.

Znalazłszy się przy Włodzimierskiej Mikołaj poczuł lekki zawrót głowy — odzywał się od chodzenia — i usiadł na stopniach koło apteki. Po drugiej stronie ulicy pod daszkiem z dykty wesoły, hałaśliwy sprzedawca prowadził ożywiony handel lodami i wędą sardyni. Klienci podchodzili do niego raz po raz.

Mikołaj posiedział chwilę, potem również tam podszedł. Sprzedawca mrugnął przyjaźnie i wskazał o-

czami rękę Mikołaja zawieszoną na temblaku.

— Pewnie z frontu, towarzyszu kapitanie?

Mikołaj skinął głową.

— Pozwolicie może kufelek piwa?

— Dziekuje, nie trzeba.

— Mam dobre, żgulewskie.

Sprzedawca był najwyraźniej usposobiony do rozmowy, ale Mikołaj wypił swoją szklankę wody, zapłacił i ruszył dalej.

Przy pięciopiętrowej narożnej kamienicy zatrzymał się. Zapalił papierosa. Dom był wypalony. Przez puste okno wystawowe mleczarni — szły jeszcze się zachował — widział było stół szarej, ciemnej cegły. A na nich dwa koty, zamarte bez ruchu narzeczcie siebie, jeden czarny, drugi rud.

Numer dwudziesty czwarty, na-

stępny za narożnym, był także spalony. Na ścianie przy wejściu widniały jeszcze napisy kredą. Z nich dwa tylko były czytelne: „A. Wajntraub mieszka przy Małej Wasilowskiej 16 m. 3” i „Gurejewowie — Zylańska 6”. Pozostałe zatarty się w ciągu roku.

Przed wojną Wajntraubowie zajmowali mieszkanie numer piętnaście. Mikołaj pamiętał ich dobrze — maż, żona i ośmioletni chłopiec, Zora. W porze obiadowej mamusia wychylała się przez okno i wołała na całe podwórko: „Zo-ora! Zo-ora!”. Trwało to bardzo długo, bo Zora nigdy nie słyszał, a kiedy słyszał, uciekał na trzecie podwórko. Gurejewów Mikołaj nie pamiętał.

Przez pewien czas Mikołaj stał pod domem i zadarłszy głowę patrzył na czwarte piętro. Mała topola, rosnąca w szczelinie balkonu, tak przez te trzy lata wybujała, że zrównała się już z balustradą. Przez okno widać było niebo i powyższymi żelazne belki.

Z bramy wszła kobieta z koszykiem i poszła szybko ulicą.

„Oficyna jest widocznie cała” — pomyślał Mikołaj i wszedł do bramy. Pierwsza oficyna była spalona, druga ocalała. Przez całą szerokość podwórza przeciągnięty był sznur, na nim schła bielizna, obok zaś jakaś staruszka siedząca na stołku obierała kartofle. Mikołaj podszedł i zapytał dość spokojnie:

— Przepraszam, babciu, czy przed wojną też mieszkaliście w tym domu?

Starowina drgnęła i spojrzała lekliwie na Mikołaja.

— He?

— Pytam, czyście przed wojną też mieszkali w tym domu?

— W tym domu? Nie, nie...

Patrzyła z przerażeniem na jego zabandażowaną rękę. — Nie, mieszkaliśmy pod osiemnastym. Tutaj dopiero od listopada.

— Chciałem się dowiedzieć o pewnych lokatorów — rzekł Mikołaj, ale zauważył, że staruszka nie dosłyszy, powtórzył więc głośnie:

— Chciałem zapytać o lokatorów...

— Nie wiem, nie wiem...

Staruszka potrząsnęła gwałtownie głową.

— Mieszkamy tu od listopada, odkąd przyszli nasi.

Spojrzała z niepokojem na rozwieszoną gładką, potem na Mikołaja, jak gdyby chcąc się upewnić, czy czegoś nie śniła.

— Nie wiem, nie wiem... Mieszkamy tu dopiero od listopada...

— powiedziała po raz trzeci i znów zabierała się do kartofli.

— Kogo szukacie? — rozległ się za plecami Mikołaja kobiecy głos. Mikołaj odwrócił się. Niezbyt

wysoka, bardzo chuda kobieta w kałużach na bosych stopach, z widocznymi śmiejami w ręce patrzyła na niego uważnie.

— Z którego jesteście mieszkańia? — zapytała, stawiając wiadro na ziemi.

— Z siedemnastego — odparł Mikołaj.

— Nazywacie się Mitiasow?

— Tak, Mitiasow.

Kobieta patrzyła na niego poważnie, bez uśmiechu.

— Ojej, jak się zmieniście! Tak był młodziutki, a teraz... — Podobnie jak wszyscy spójrzała na jego bandaż.

— Ranny, tak?

— Jak widziacie.

Kobieta pokiwała głową.

— Okropnie się zmieniście... Po prostu okropnie. — Potrząsnęła głową ze współczuciem. — Nie poznał, nie poznał... — Mikołaj rzeczywiście nie mógł jej sobie przypomnieć — a ja was od razu poznałam. Pamiętam nawet, że mieliście psa.

— Miałem. Ryżka. Szczeniak.

Nie miał jeszcze roku.

— A wasz synek wyprowadzał go tutaj na podwórko.

— Nie, dzieci nie mieliśmy. To nie nasz chłopczyk.

— Nie mieliście? A mnie się zdawało, że mieliście synka.

— Nie. To sąsiadów. Smirnowów...

Umilkli oboje. Mikołaj czekał, aż kobieta powie coś jeszcze, ale ona milczała i tylko współczująco, zapewne już machinalnie, kiwała głową.

Mały, ośmioletni chyba chłopiec podszedł, otworzył usta i gapił się na Mikołaja.

— A o Szurze nie wiecie?

— Zapytał Mikołaj nie patrząc na nią.

Kobieta nie wiadomo dlaczego rozwinęła chustkę na głowie i znów ją zawiązała.

— One zdaje się zostały tu przy Niemcach? — zapytała.

— Zostały. Jej matka była chora.

Kobieta ożywiła się nagle.

— Tak, tak. Stara umiera. Zdaje się, że miała raka.

— A Szura? — spytał Mikołaj.

— Szura? — Kobieta zamysliła się i znów poprawiała chustkę na głowie.

— Szura teraz tu nie mieszka. Zdaje się, że mieszka przy Zylańskiej.

— Nie... Właśnie, że pod trzydziestym ósmym — odezwał się chłopiec i znów otworzył usta.

Mikołaj spojrzał na niego uważnie.

— Skąd wiesz, o kim mówimy?

— Wiem, o cioci Szurze, co mieszkała pod siedemnastym na tej klatce.

— A teraz pod trzydziestym ósmym, powiedzasz? Wiesz na pewno?

— Na pewno. Na trzecim piętrze od ulicy. Pomagałem jej raz nieść drzewo. Rozspalał jej się, a ja mogłem zebrać. I nieść też mogłem.

— To czwarty albo piąty dom od rogu — powiedziała kobieta.

— Tam gdzie warsztat reperacji prymusów. Teraz sobie przypomniałam, przeniosła się tam. — Uśmiech nęła się. — Nie do warsztatu oczywiście, tylko do domu.

Mikołaj też się uśmiechnął.

— No, dziękuję, bardzo dziękuję.

— Ruszył szybko w kierunku ulicy, jak gdyby lękał się, że go tu ktoś zatrzyma.

Kobieta odprowadziła go wzrokiem, potrząsnęła znów głową, potem wzięła swoje wiadro i człapiąc kałozami, które spadały jej z nog, poszła do śmietnika.

Mikołaj szedł przedko ulicą i rozglądał się po obu stronach. Dwie przechodzące dziewczyny obejrzały się za nim. Mikołaj też się obejrzał. Dziewczęta roześmiały się. Mikołaj poprawił fałdy bluzy. Była krotka, wypłowiała, z rękawem na pół oderwanym, i wsumiemy na pas. Szerokie szarawary maskujące, ręka na temblaku — widok w mieście na tyłach niezbyt częsty. Przechodnie oglądali się. Mikołaj przypał się na tym, że sprawa mu to nawet pewną przyjemność.

Doszedł do rogu, zobaczył zakład fryzjerski i przypomniał sobie, że trzeba się ogolić. Był to ten sam zakład, w którym gołił się jeszcze przed wojną. Mikołaj wszedł do środka. Fryzjer — nowy, waski w ramionach, ze strzechą niewytkle drobno wijących się włosów i miną pogardliwie znużoną — czyścił paznokcie, rozparty w fotelu. Na widok wchodzącego zerwał się od razu.

— Zgolimy wasy i haczki? — zapytał tonem niespodzianie wesołym, rzucając pod stół brudną serwetkę i wyjmując z szuflady śwież.

— Zgolimy — rzekł Mikołaj i przejrzał się w lustwie.

Dawno się już nie przeglądał w takim wielkim, pięknym lustwie. Okazało się, że twarz jego od onalennizy stała się zupełnie miedzianna, brwi i rzęsy wypłowiały, a wasy i haczki, zapuszczone w szpitalu z braku lepszego zajęcia, wyrosły nie wiedzieć czemu rude. Bez wątpienia nadawały one twarzy wyraz marsowy, ale jednocześnie wyrażały ją postarzają. Mikołaj powtórzył stanowczo:

— Zgolimy, pał je licho...

Fryzjer zapytał, gdzie i czy Mikołaj został ranny i czy nasi będą przedko w Warszawie. Mikołaj odpowiedział i czuł, że odpowiedzi tych słuchają z wielką uwagą. Nawet kasjerka — rosta dziewczyna o obitym biuście i oczach sennych od upału — wyszła ze swej klatki, żeby lepiej słyszeć.

Fryzjer zabrał się do golenia włosów. Mikołaj nie mógł odpowiadać na pytania i obserwując w lustrze ruchy fryzjera usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądał numer trzydziesty ósmy, o którym mówił chłopiec na podwórku. Z początku zdawało mu się, że to ta wielka, szara kamienica, w której była jatka. Potem, że to mały, dwupiętrowy dom z walącym się balkonem. Następnie przypomniał sobie, że mały dom ma numer trzydziesty szósty, następny zaś domu nie pamiętał, ale pamiętał, że przed nim stał stary dziuplasty wiąz z młostwem wronich gniazd, pod którymi chodnik był zawsze biały. Widać było, że jest właśnie numer trzydziesty ósmy.

Mikołaj zaczął myśleć o Szurze, ale postarał się zaraz odpędzić od siebie tę myśl: Szura nie wiadomo czemu wydała mu się podobna do tamtej kobiety spod dwudziestego czwartego — wychudła, blada, ze zmarszczkami dokoła oczu. Żeby o tym nie myśleć, zaczął oglądać w lustrze schroniła się do swej klatki i drzemiała zmorzona upałem i bezczynnością.

Fryzjer zrobił mu kompres, masaż, upodurował całą twarz, na skutek czego przysłała kolor różowawą, strzeżoną ostatnie włoski i zapytał:

— No co? Dobra robota?

— Odmłodnieliście o dziesięć lat — odezwała się kasjerka ze swojej klatki. — Zona was nie pozna.

— Pozna — roześmiał się Mikołaj i jeszcze raz, z daleka, przejrzał się w lustwie. Gdyby nie białawe, spłowiałe brwi i zbyt szeroki nos, byłby z siebie zupełnie zadowolony.

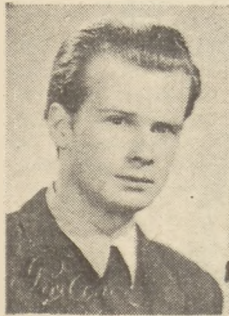
Zapłacił, dodał pięć rubli nad program i wszedł. Fryzjer na pożegnanie zapraszał go uslinie, żeby wstępował jak najczęściej.

2

Jak się okazało, numer trzydziesty ósmy był to właśnie ten dom, o którym pomyślał Mikołaj. Wiąz jak dawniej stał na swoim miejscu i jak dawniej uwiąły się nad nim wrony, na chodniku zaś biegały plamy. Była to czteropiętrowa

• debiuty • debiuty • debiuty • debiuty • debiuty • debiuty • debiuty • debiuty •

O diable, aniele i etacie dla chłopca



Andrzej Kijowski: *Diabeł, anioł i chłop*. Opowiadania. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955. Str. 282, 2 nrb.

Podoba mi się tupet Kijowskiego: po kilku latach pracy krytycznej wydać tom prozy i opatrzyć go własnym nazwiskiem! Ileż w tym sympatycznego optymizmu! Ile ujmującej wiary, że się samemu spełnia to, czego się żądało od innych! Człowieka aż korci, żeby przeprowadzić konfrontację: ot, jeden, drugi cytyk z artykułu, garszczka postulatów, umiejętnie wybrana z przemówień, szczypta „złoty myśli”, od których ów krytyk, jak wiadomo, nie stronił, a później już tylko sumienna przymarka: okazałoby się, że recenzje Kijowskiego były szyte na starszego brata.

Ostatecznie można by sobie tak poigrać, gdyby nie obawa, że złośliwi zaczęli się bawić w *du g a s t r o n e*. Oto, powiedzą, Kijowski nawroście wyciągnął z Sukiennic nieszczęśliwego „magdeburskiego” i pokazał, czym nas mierzy. Już wiemy, co miał na myśli, domagając się „wielkich syntez” i „prawdziwych problemów”: chodźło mu o prozę do tego stopnia wypraną z realiów, co jego własna opowieść pt. „Niebo” i równie banalna jak jego „Lipowa pogoda”. Cóż łatwiejszego, niż ułożyć „Słownik polsko-kijowski”, w którym każde zdanie wyszarpięte z recenzji, byłoby tłumaczone na dogodny ustep z „Diabła, anioła i chłopca”?

Do czegoż zresztą, jak nie do tego, wyzwał nas niedawno autor felietonu „Z miejsc stojących”? „Krytyk”, cytując Konwickiego, „ma prawo nie podobać napisaniu wiersza lub opowiadania. Ale jeśli takowe napisze, z samej materii i formy poznamy jego upodobania, uznamy, czy ma prawo sądzić bliźnich”. Kijowski napisał. Nie udało się — i co z tego? Niedawno zdolny krytyk katolicki wydał parę tomów opowiadań i wierszy; okazały się mierne. Inny z kolei krytyk, tym razem już z kręgów spowinowacanych z „Nową Kulturą”, publikuje w dzienniku rzewne kawałki, gdzie delegatów na Festiwal nazywa „ambasadorami naszych drzew”. Można nad tą metaforą westchnąć, lecz niesposób z jej powodu odbierać krytykowi prawa jazdy. Stosując takie represje pozostałabym wkrótce sam na sam z Wasilewskim, chyba, żeby i on poczuł wolę Bożą; wówczas kłapa zupełna — trzeba by się w ogóle pożegnać z recenzjami. A to już, proszę kolegów, przesada: wymagamy od krytyków, by się nie mylili co do nas, czy mamy jeszcze prawo żądać, by się nie mylili co do siebie? Poza tym, coż za okrucieństwo — dawać średniakowi przydział na dwie dusze, krytykowi zaś tylko na jedną? Recenzje Kijowskiego, nie raz wnikliwe, prawie zawsze zaś dowcipne i pełne swoistego, rzadkiego u nas wężku, czytywałem i będę nadal czytywał z ciekawością. I — słowo daję! — nie przeszkodzi mi w tym książka, którą mam w tej chwili przed sobą.

Rzecz charakterystyczna, iż każda jej strona, rozpatrywana z osobna, robi nawet miłe wrażenie. Język, jak się to mawia na lekcyjach polskiego, potoczny, mówiący zaś z wyjątkiem — wypracowany i posłuszny; gdziekolwiek interesujący majstersztyk stylistyczny, ot, choćby takie zdanko o Szymonie Chmurze, ciągnące się bez zadyski przez trzynaście linijek; dialog lepszy niż u licznych debiutantów, a wszystko to bez zadziór i sterczących gwoździ. Co więcej, budowa nowel rzetelna, a w opowiadaniach tytułowym nawet ciekawa i nowoczesna.

Jeśli więc debiutantom zarzuca się na ogół chropowatość, niezdarność, czy po prostu prostactwo formalne, to do Kijowskiego — bądźmy sprawiedliwi! — trudno się o to przyczepić. Pisać — w wąskim, czysto warsztatowym sensie — to on umie; gdyby tak jeszcze miał o czym!

Niestety, Kijowski jest treściowo niezamożny. Przyczyn jego niskiego stopnia życiowej byłbym skłonny dopatrywać się przede wszystkim w tym, że Kijowski lekce sobie wazy czynność *p o s t r z e g a n i a*. Pewno, że nie każdego stać, jak Żukrowskiego, na ów mokry ślad spoczonej ręki, stygnący na stole. Ale coś trzeba przecież widzieć i przekazywać, jakieś gesty, dźwięki, wyglądy, przedmioty, czymś chyba trzeba wyróżniać własnych ludzi i własne sytuacje; doprawdy, nie wydaje mi się, aby wszystko można

było opierać na *u m o w i e*! Tymczasem proza Kijowskiego przypomina tablicę logarytmiczną, tak jest wolna od śladów materii, tak ograniczona do symboli. Gdyby w niej zwinęto wszystko, co stanowi o *o d b i c i u* poznawalnego świata, otrzymalibyśmy spis nie większy od tego, jaki wisi w każdym pokoju biurowym: stół, cztery krzesła, doniczka, piec kaflowy... Ludzkie charakterów i losów zabrakłoby w tym spisie: zastąpiłyby je tendencje — niestety, nie ożywione.

Otóż i literatura *par excellence* „intelektualna” — w stanie czystym, nieskażonym obecnością ludzi ani realiów, literatura zagadnień moralnych „samych w sobie”, istniejących gdzieś i kiedyś, oderwanych od ziemi i czasu, wykonanych w zimno, z pominięciem tu i owdzie najprymitywniejszych wymogów prawdopodobieństwa (jak w przypadku parobka Pawła, który sam jeden, bez sił najemnych i traktorów, gospodarzy na osiemnastu morgach). Otóż więc literatura maksymalnej nonszalancji wobec życia! Dalibóg, że ryzykant z tego Kijowskiego: znamy bowiem licznych pisarzy, którzy do dziś przetrwali dzięki wiernemu zapisowi świata, trafniejszemu, niż ich spekulacje myślowe; a czy wielu przetrwało dzięki spekulacjom?

Tu sprawa ma się tym gorzej, że z intelektualnych zabiegów Kijowskiego zazwyczaj nie wiele wynika; małe są bowiem, często zaś nawet wątpliwe problemy, które zamierza nam przedłożyć pod rozwagę. Problem dobrowolnego odejścia klas wyzyskujących? (W opowiadaniu „Fala”). Problem konieczności pielegnowania tego, co po odeszłych klasach zostało wartościowego? („Lipowa pogoda”). Problem tragicznej wierności wyzyskiwanych wobec wyzyskujących? („Niebo”). Problem dwu dusz średniaka? („Diabeł, anioł i chłop”). Intelektualnego przepychu w tym nie czuję.

Pocieszające jest jednak to, że Kijowski pod wpływem Boga wie czego: mody? snobizmu? przekory? — że zatem Kijowski sam sobie ten model literatury w *m ó w i* i. Celowo omijałam dotychczas sprawy jednej w tym tomie satyry — ostatniego z kolei opowiadania pt. „Towarzysz Dialektik”. Byłbym rad, gdyby się okazało, że jest ono i chronologicznie ostatnie. Podejrzewam, że Kijowski dopiero tutaj chwycił genre jemu właściwy. Nie mam zamiaru streszczać zabawnej przygody towarzysza K. w gminie Chalupki Małe; temu, kto jej nie zna, popybujmy po prostu, a do tych zaś, którzy je czytali, chociażby w „Życiu Literackim”, będzie to zbędne. Ograniczę się do paru uwag, a to: że autor wystopniował je bardzo rzetelnie, że naniżał na nie parę dość istotnych błędów społecznych i że — nareszcie! — nasycił je humorem, tak częstym w jego recenzjach, a tak surowo kneblowanym w opowiadaniach poprzednich! To nic, że „Towarzysz Dia-

lektik” jest przydługi, to nic, że pewne dowcipy persewują w nim po kilkakroć; on jeden okupuje dobre imię Kijowskiego, on jeden jest naprawdę *n a p i s a n y*. Wystarczy jednym tchem przeczytać wszystkie pięć utworów, aby spotrzeć, że ostatni jest najswobodniejszy, że tu się autor do niczego nie zmuszał i że w rezultacie jest to jego jedyna rzecz dosyć własna i świeża.

Dlatego kończę tak zwanym „ak-



Jerzy Sławkowski: *Przednówek*. Warszawa 1955. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 63.

„Przednówek” Jerzego Sławkowskiego, oibryzmia powieści o tematyce wiejskiej, można przeczytać — łagodnie licząc — w ciągu czterech czy pięciu dni. Myślę o solidnej recenzentce lekturze i normalnym dniu pracy krytyka. Dla czytelników po ukończonym kursie dla analfabetów — do nich przede wszystkim książka jest adresowana — byłoby to zajęcie na okres mniej więcej dwumiesięczny. Z niepokojem myślałabym o odpowiedzialności społecznej autora i wydawnictwa, zakładających owość tak poważnego wysiłku kilku czy kilkunastu tysięcy pracujących chłopów, gdyby nie smutna skądinąd pewność, że powieść Sławkowskiego nie zbladzi pod strzechy. Z możliwością takiego zbladzenia mimo wszystko w tym względzie czynione deklaracje nikt się zresztą realnie nie liczy. Czego dowodem powyższa skromniutka kalkulacja.

Zasygnalizowanego problemu nie odważam się analizować. Zbyt wiele tu spraw dla naszej literatury i polityki kulturalnej szczególnie doniosłych i skomplikowanych. Interesują mnie zresztą w tym wypadku nie istotne właściwości ani obiektywne konsekwencje poważnego zjawiska lecz drobna w zasadzie sprawa, jak to się dzieje, że początkujący autor lekką ręką pisze dzieło, nad którym co doświadczeńszy pisarz musiałby pracować przez długi szereg lat. Zjawisko to jest dla młodych prozaików bardzo znamienne i jest sprawą przypadku, że na przykładzie „Przednówka” widać je szczególnie jaskrawo. „Przednówek” nie jest książką ani gorszą ani lepszą od dziesiątki powieści współczesnych o tematyce wiejskiej w rodzaju „Gorących dni” Nizurkiego czy „Opowieści wierzbowej” Dróży-Satanowskiej i jego szczególną przypadłością jest jedynie to, że zużyto nań pięć — czy sześciokrotnie więcej papieru. Płaci się zaś za tę przypadłość nie

centem optymistycznym”: jestem mianowicie przekonany, że porażka Kijowskiego, a ściślej — porażka większości jego opowiadań — wynika nie tyle z braku talentu, ile z nadmiaru próżności; wołał pisać szczytne, chociaż kiepskie moralistyczne, niż zwyczajne, ale za to dobre satyry. Mówi: Boże! I to w kraju, gdzie aż mdli od moralistów i gdzie człowiek ze świecą musi szukać dobrego satyryka!

Aleksander Ścibor-Rylski

Powieść o wsi

tylko papierem ale i trudnościami w znalezieniu recenzentów, jedynych odbiorców tego typu literatury.

Przy lekturze „Przednówka” dręczyłem się bezustannie myślą o przyczynach przynajmniej porażki autorskiej człowieka niewątpliwie utalentowanego i nieprzeciętnie pracowitego, bo to można o autorze powieści bez ryzyka powiedzieć. Wniosek do jakiego doszedłem, sformułować dosyć trudno. W uproszczeniu brzmiałby on następująco: autor nie bardzo chyba zdaje sobie sprawę z tego, że indywidualna twórczość literacka zaczyna się dopiero wtedy, gdy piszący ma coś własnego do powiedzenia o życiu w sferze sądów o nim i sposobów jego widzenia, lub przynajmniej potrafi prawdy skądinąd znane w zindywidualizowany i wartościowy artystycznie sposób wyrazić. Nieświadomość w tej kwestii ułatwia proces pisania, bo ambicje twórcze podlegają wtedy ograniczeniu do rzędu mechanicznych umiejętności rzemieślniczych, ale też nie sprzyja rzeczywistej twórczości. Pisarz musi mieć ambicję, jeśli nie odkrywcę czy wynalazcę, to przynajmniej racjonalizatora lub mistrza wykonawcy. Coś chyba winno usprawiedliwiać patent autorski.

W „Przednówku” nie łatwo o takie usprawiedliwienie. Treść notatnika prelegenta na temat „spółdzielczości produkcyjnej” została tu wyrażona w formie skonwencjonalizowanej już na naszym gruncie wiejskiej powieści schematycznej. Nie deprecjuję potrzeby propagandy elementarnej wiedzy o spółdzielczości produkcyjnej, ale propagandę tę należy przeprowadzać w celowy społecznie sposób. Powieść schematyczna — jak wiadomo z doświadczenia — nie bardzo się do tego nadaje. Sławkowski do znanego schematu powieściowego wprowadził zaledwie kilka nowych elementów. Spróbuję wyliczyć najważniejsze w kilku punktach. 1) Biedota wiejska, obiekt zabiegów propagandowych autora, jest w „Przednówku” prymitywniejsza niż to się w powieściach tego typu zdarza. Jeden z głównych bohaterów powieści nie słyszał na przykład do 1948 roku nazwiska Stalina (str. 202). 2) Obóz wrogów rewolucji na wsi wzbogacił autor kilkoma nowymi rysami. Między innymi u Sławkowskiego londyńskie podziemie jawnie współpracuje z faszystami niemieckimi przy likwidacji getta (rozdział IV), główny wróg, kulak Zieliński jest skompromitowany w sposób w naszych powieściach wiejskich jeszcze nie wykorzystany —

usiłuje on zgwałcić własną córkę. 3) Do znanego kanonu postaci i konfliktów wprowadził Sławkowski parę nowości. Na uwagę zasługuje ciekawa postać kulackiego synka, wstydzącego się swego kulackiego parobka Onufrego, który okazuje się starym buntownikiem chłopskim z rzeszowszczyzny; przeciwstawia się autor utartym schematom. 4) Sławkowski w większym niż inni autorzy stopniu wykorzystał konwencje stylistyczne epiki odpustowej, co znalazło wyraz w konsekwentnej stylizacji tekstu odaustorskiego. Widać to już wyraźnie w króciutkiej przedmowie autora do książki. 5) W „Przednówku” współistnieją po trosze na zasadzie paralelizmu stara konwencja bohaterów czarno-białych z późniejszą tak zwanych bohaterów ucłowieczonych.

Odrobinę złośliwie ale skrupulatnie wyłowione nowatorskie pomysły autorskie są mimowolnym produktem pracy pisarskiej, bo auto-

rowi nie chodziło wcale — to zresztą dobrze — o ulepszenie powieści schematycznej. Autorowi chodziło o powieść w ogóle, o powieść za wszelką cenę. Takie formalistyczne założenie przyswiewca wielu piszącym. Dla popularyzacji ważnych prawd społecznych używa się u nas nagminnie gatunku literackiego, który nigdy nie miał wspólnego z popularyzacją, który zawsze wyrastał i rozwijał się z twórczej i odkrywczej analizy zjawisk życia. Całe bogactwo form literackich, wykształconych przez tradycję literatury dydaktycznej, od felietonów poczynając na powiastce filozoficznej kończąc, nie znajduje uznania młodych prozaików. A przecież to właśnie formy nie zobowiązują do istotnej odkrywczości myślowej a stwarzają nieograniczone możliwości inwencji w zakresie sztuki uprzedmiotowienia myśli. I trudniej czasem napisać oryginalny felieton niż nieoryginalną powieść.

Henryk Berezka

Książka spóźniona o trzy lata



Maria Szulecka: *Wyboje*. S. W. „Czytelnik”. Warszawa 1955, str. 564, nrb. 3.

Schematyczna powieść produkcyjna była niekiedy ciekawa. Ograniczając możliwości rozwiązań zmuszała do zainteresowania się akcją. W sposób jednoznaczny i wyraźny angażowała uczuciowo. Stanowiła niejednokrotnie dobrą literaturę drugorzędą.

Coś z tych wartości mają i „Wyboje” Marii Szuleckiej. Bo ta książka jest miejscami interesująca.

Ze nie jest interesująca jako całość — to wina poważnych błędów w kształtowaniu fabuły. Błędy to mocno przestarzałe; jest sprawa nieco żenująca wspomnianą ich tutaj. O jednym ze szwarccharakterów tej książki, dywersyjnej wycieczce w partii i spółdzielni produkcyjnej, Kolinskim, wiadomo z góry, od pierwszego z jego wystąpienia, że nosi czarną podszejkę. A jeśli już taka podszejka przewijuje przez białe ubranko, to trzeba dokładnie pokazać jej szwy. Szulecka nie decyduje się na tajemnicę, nie decyduje się także na wszechwiedzę — jej sabotażysta jest zatem nudny. Jest zaś jednocześnie niezbyt przekonujący, bo bardzo naiwny. Zbyt często odsłania się, zbyt mało dba o swoje „dobre imię”. To pierwsza nadwłona kolumna tego ogromnego gmachu.

Problem: Sek — Kapusta stanowi kolumnę drugą. Sek (nomen omen) jest pozostającym na usługach wroga kulakiem. Kapusta (no-

men omen) jest bardzo niemądrym średniakiem o dużej amplitudzie i rekordowej częstotliwości klasowych — i klasycznych — wahań. Sek szantażuje Kapustę. A dlaczego? Bo spotkał go, biegnącego z miejsca krwawego porachunku bandy z jego krewniakiem, Piątkiem, nakonił do zatajenia tej sprawy przed milicją i wzmówił, że to na niego, Kapustę, padnie podejrzenie. Banda została wykryta i zlikwidowana, jej kontakt z Piątkiem stwierdzony ponad wszelką wątpliwość — a Kapusta wciąż żyje w lekku przed „denuncjacją” Seka. Jakiś bardzo nierozgarnięty jest ten Kapusta.

Z grubsza rzecz biorąc te dwa — konstruktywne — wątki odbierają „Wybojom” walor interesującej powieści schematycznej.

Niewątpliwie jednak nie było założeniem pisarki stworzenie powieści schematycznej. Niewątpliwie założenia jej należą do rzędu najambitniejszych. Szeroko rozbudowana powieść o wsi na przełomie — epika. Kształtowanie się ludzkich charakterów pod wpływem przemian ekonomicznych i społecznych, centralne zagadnienie naszej współczesności w momencie stawiania się, w momencie walki. Cóż — nie wyszło.

Argumentacja może tu być bogata i roznorodna. Należy w niej pominąć sprawy mniej istotne: duży procent niepotrzebnych dialogów, ograny styl. Niedociągnięcia te sygnalizują tylko kompleks błędów zasadniczych.

W słowie „dublowanie” zawlarea się ocena negatywna. Wszystko to, co napisała Szulecka o powojennej wsi polskiej, mieści się bez reszty w wypowiedziach pienarnych, w zesztych „Nowych Drog”, w artykułach prasowych. Szulecka nie ma własnych problemów. Niechby nawet nie były to problemy odkrywcze. Nie stawiamy wymagań najwyższych. Nie ma problemów, które by stanowiły jej pasję, którym by dała sugestję przeciącia tak silnego, że czytelnik zapamiętałby je na długo. Jest w tej książce wszystko: osiedlenie na nowej ziemi, banda dywersyjna, spółdzielnia produkcyjna — walka o jej powstanie i walka o jej prawidłowy rozwój, zycorys emigranta, zycorys lumpenproletariusa, zycorys „silaczki”, bikiniarz, obcy wywiad, awans społeczny, problem bezdziejnych rodziców. Ale wszystko jest wypracowaniem na temat: „Opiszę polską wieś współczesną”. I to jest zarzut najpoważniejszy.

Bezpódnie tłumaczenie „na literaturę” uogólnień politycznych stawia pod znakiem zapytania wartości poznawcze literatury. Pisarz sprawnie wtedy wrażenie statystyka, który pragnąłby mówić we wszystkich, że jego zamarkowane najprostsza sylwetka postaci mówią prawdę o konkretnych ludziach. Ludzie Szuleckiej są preparatami politycznymi: kulak jest kanałią związaną z obcym wywiadem, średniak jest perpendykulem, biedniak zdobywa świadomość klasową. Wszystko, wszystko dzieje się tak jak trzeba. To są prawdy polityczno-statystyczne. Nie ma w nich pisarza, nie ma w nich konkretnego jednostkowego życia, które zawsze jest odrobinę inne i odrobinę bardziej skomplikowane.

Szulecka próbuje nawet bronić się przed schematyzmem, ale czyni to znów w sposób, który straszy szlamą. Jej działacze partyni mają nabrać życia dlatego, że jeden z nich ma żonę sekutnicę, mówi „wicie”, a przewróciło mu się w głowie, a drugi za żadne pierniki nie odda spółdzielni swego sadu.

Książki tej bronią ambicje pisarki, śmiałości zamiaru, któremu mogłoby nie sprostać pióro nieorworne więcej doświadczone. Dlatego sąd o książce nie powinien być sądem o autorce. Szkoła tych pięciuś z górą stron, szkoda tych nieudanego „Zoranego ugoru”.

Niniejszą recenzję wysyłam z dwutygodniowym opóźnieniem. Ale to nieprawda. Ta recenzja jest spóźniona o trzy lata. Bo o trzy lata jest spóźniona książka.

Jerzy Kwiakowski

TARAS SZEWCZENKO „UTWORY WYBRANE”. Redaktor i słowo wstępne Włodzimierz Słobodnik. Postawom i przypisami opatrzył Marian Jakóbiec. P.I.W. 1955. Cena zł. 23.50.

Życie Tarasa Szevczenki, twórcy literatury ukraińskiej i nowoczesnego ukraińskiego języka literackiego przypada na lata 1814 — 1861. Biografia tego wielkiego bojownika o wolność ludu wyraża się dobitnie cyframi — z czterdziestu siedmiu lat swego życia dwadzieścia cztery spędził w poddaństwie, dziesięć — na zesłaniu, trzy i pół pod nadzorem policji, a zaledwie dziewięć lat na wolności.

Uwory jego tępione przez carat, znienawidzone przez reakcję drukowaną, tajnie, przepisywano i uczono ich się na pamięć. Były one skutecznym orężem propagandy rewolucyjnej. Szevczenko cieszył się także ogromną popularnością w postępowych kołach czytelników polskich. Dowodem tego są liczne przekłady jego poezji na język polski. Szczególnie zainteresowanie Szevczenką przypada u nas na lata 1862, 63 i 1912, 13. Spośród polskich tłumaczy Szevczenki wymieniamy: A. I. Gorczyńskiego, Leonarda Sowińskiego, Ludwika Syrokomlę, Paulina Święcickiego, Leo Belmonta, Gustawa Daniłowicz, Wilhelm Feldmana, Jaroslawa Iwaszkiewicza. W wydaniu przez P.I.W. wyborze znajdziemy także przekłady Słobodnika, Piechala, Jastrzębka — Kozłowskiego, Zytomirskiego, J. Czarnego, T. Chrościelewskiego i innych.

W. Słobodnik pisze w słowie wstępnym do tego tomu: „Nie łatwym zadaniem było oddać to kobzarskiej poezji Szevczenki w tłumaczeniach polskich. Jeśli nie łatwo jest tłumaczyć wielkich poetów, to tłumaczenie poezji Szevczenki nastrocza stokroć więcej trudności, bo jej ludowy tok ukraiński jest prawie nienrztłumal-

czalny. W wyborze staraliśmy się uwzględnić te przekłady, które naszym zdaniem najlepiej oddają charakter twórczości Szevczenki. W jakim stopniu udało się to nam — niech osądzą krytycy, a zwłaszcza czytelnicy, do których ręk trafi ta książka.”

IWAN TURGIENIEW „ZACISZE I INNE OPOWIADANIA”. Tłumaczyła Zofia Kaczorowska. P.I.W. 1955. Cena zł. 12.50.

W dalszym ciągu wyboru pism Turgieniewa, redagowanego przez Pawła Hertza, ukazuje się tom zawierający siedem opowiadań: „Dwój przyjaciele” — opowiadanie, które ukazało się po raz pierwszy drukiem w „Souriemienniku” w 1854 r. i którego zakończenie zmienił autor w późniejszych wydaniach,

rosyjskich na wybrzeżach Ameryki Północnej.

Autor „Oceanu Wielkiego” próbował różnych zawodów i dopiero gdy jako trzydziestoltni mężczyzna przyjechał do Leningradu, aby ukończyć studia wyższe, zainteresował się literaturą i spróbował swoich sił jako pisarz. Zaczął od dramatu. O charakterze jego twórczości literackiej zadecydował ostatecznie podróż na Daleką Północ. Od r. 1937 rozpoczął publikowanie swoich opowiadań w różnych czasopiśmie rosyjskich. Część z nich wydał w rok później w zbiorze „Ziemia rodzinną”, a w r. 1940 ukazał się tom zatytułowany „Dom wśród tundry” zawierający kilkadziesiąt opowiadań o ludziach Północy, o mieszkających krajów podbiegunowych, o ich życiu i obyczajach i o tym, jak władza ra-

„Samotny biały żagiel” i „Syn pułku” — powieść, za którą w r. 1946 otrzymał autor „Nagrodę Stalinowską”. Akcja wydanej przez „Czytelnik” powieści rozgrywa się w okresie Wielkiej Wojny Narodowej. Bohaterem jej jest moskiewski pianin Pietia. Wyjeżdża on z ojcem na wakacyjną wólcę, której głównym celem jest zwiedzenie Odessy. I tu właśnie zaskoczeni wypadkami politycznymi ojciec i syn zostają się. Ojciec idzie na front, a Pietia pozostaje w Odessie gdzie bierze udział w bohaterskich walkach partyzantów radzieckich. Interesująca, wartka akcja i walory artystyczne tej powieści stawiają ją w rzędzie najbardziej poczytanych i poszukiwanych lektur.

JURIJ NAGIBIN „FAJKA I INNE OPOWIADANIA”. Przetłóżyła Jadwiga Dmochowska „Iskry”. 1955. Cena zł. 12.70.

Jurij Nagibin jest pisarzem średniego pokolenia. Urodził się w r. 1920. Studiował w Wszechniowskim Państwowym Instytucie Kineematografii. W czasie wojny pracował w drukarni przyfrontowej, a także jako instruktor Wydziału Politycznego. Zdemobilizowany na skutek kontuzji dostarczał korespondencje wojenne gazecie „Trud”. Pracę pisarską rozpoczął w 1940 r. Jest autorem zbioru opowiadań „Człowieka z frontu”, oraz książek „Wielkie serce”, „Dwie siły”, „Gwardziści nad Dnieprem” i „Ziarno życia”.

Zbiór, który otrzymują czytelnicy w wydaniu „Iskier” zawiera dwadzieścia krótkich opowiadań o bardzo różnej tematyce. Są tu obrazy mówiące o bohaterstwie ludzi radzieckich w czasie wojny, o pracy pokojowej, piękne opowiadanie tytułowe z życia Cyganów — „Fajka”, a także tzw. nowela sportowa „Mistrzostwo indywidualne” i wiele innych.

K. Nast

Nowe książki

podobnie zresztą jak pewne szczególne „Zecisa” publikowanego w tym samym roku i na łamach tego samego pisma. Dalej znajdujemy w tym tomie opowiadania — „Korespondencja” i „Jakub Pasnykow” oraz „Fausta”, który zyskał sobie bardzo żywcie przyjęcie czytelników, a następnie „Wyprawę na Polesie” — szkic przeznaczony do almanachu myślowskiego i „Asie” — utwór, który wywołał wiele sprzecznych opinii.

IWAN KRATT „DOM WŚRÓD TUNDRY”. Przetłóżyła Maria Kowalewska. „Iskry” 1955. Cena zł. 9.60.

Iwan Kratt pisarz rosyjski zmarły przed pięcioma laty jest już znany polskim czytelnikom jako autor epepe „Ocean Wielki”, której treścią są dzieje osiedleńców

dziecka zmienia tych ludzi oddalonych przez wiele wieków od źródeł kultury, zaniedbanych i pozostawionych własnemu losowi. Nauczyciele, inżynierowie, lekarze przybywają do tych odległych zakątków kraju. O ich pracy, trudnościach i zwycięstwach mówią właśnie opowiadania Kratta odznaczające się optymizmem i wiarą w człowieka.

WALENTIN KATAJEW „ZA WŁADZĘ RAD”. Tłumaczyła Gabriela Pauszer-Klonowska. „Czytelnik”. 1955. Cena zł. 26.80.

Na dorobek literacki Katajewa składają się liczne opowiadania i powieści takie jak: „Ojciec”, „Czasie naprzód”, „Dom ojcowi”, znany naszym czytelnikom w przekładzie polskim i adaptacji filmowej

Czy istnieje narodowy styl w radiofonii

Audycje interwencyjne często ujęte są w formę rozmowy, w której dwoje ludzi opowiada sobie przeżycia i spostrzeżenia z dnia, zilustrowane scenkami słuchowskowymi. Również zapowiedź słuchowisk podawana bywa w formie rozmowy czy kameralnych scenek ilustrujących treść utworu. Tak np. zapowiedź słuchowiska „Miłość, medycyna i małe mieszkanie” miała formę trzech krótkich migawek: dialogu zakończonych, rozmowy lekarza z pacjentem i... sąsiedzkiej kłótni. Reżyser portuje dźwiękowe wykraczają daleko poza sprawy produkcji – się

dyskutować i pomyśleć.
Zofia Krzyżanowska

Szkola

nych zakładaniu rodziny, młodzież najzjadliwiej zaatakowana przez bakcyle amoralności starego świata. Tej potrzeba natychmiastowej pomocy w formie akcji świadomego macierzyństwa i środków antykon-

„Oczywiście!” — mówił Lenin — „Pragnienie wymaga zaspokojenia. Ale czy człowiek normalny w normalnych warunkach położy się na ulicy w błocie i będzie pił z kaluz? Iub nawet ze szklanki, której brzeg nosi ślady dziesiątków warg? Ale najważniejsza jest sprawa społeczna! Ficie wody jest sprawą indywidualną. Ale miłość jest sprawą dwójką i powstaje trzecie, nowe życie. Tu się kryje sprawa spo-

cy cynizm. Rozwój „Kultury”, która w pierwszych deklaracjach chciała być szczerą i myślowo uczciwą,

czuć czy szkoła

(Dokończenie ze str. 2)

łeczna, powstaje obowiązek wobec ośłu".

Razi mnie minimalizm, czy śępota etyczna, nie pozwalająca ludziom odpowiedzialnym dostrzec w niej miary godności. Jaka dajemy człowiekowi. Razi mnie ta absolutna obojętność organizacji partyjnych w niektórych biurach na niezrządkie przecież fakty „dorabiania” przez urzędniczkę prostytucją, ta tolerancja rozkładających starszych panów na dyrektorskich stanowiskach, którzy upatrują sobie w wiążomych celach znajome wśród najmłodszych pracownice. Nie wolno rezygnować wobec żadnej grupy ludzi i w żadnym zakładzie pracy z obowiązku tworzenia właściwej atmosfery – atmosfery nie godzenia się z lajdactwem i rozwiązłością, z drugiej strony zaś – atmo-

[illegible]

To, co Bobkowski obecnie pisze, jest spontaniczną afirmacją amerykańskizmu, który nazywa neomarykanizmem. Rozróżnienie to nie jest chyba ważne i dla Bobkowskiego, bo przecież on nie udowadnia swej słuszności, on się nią z całym swoim temperamentem zachwytuje. Rozumiemy z tego, że bezsensowny europejski intelektualizm nie potrafił dotąd zrozumieć tej najwspalszej koncepcji życia, jaką daje demokracjonalny kapitalizm amerykański.

Z Bobkowskim jest rzecz taka: to było świetne pióro, inteligentne i wrażliwe. Czulo się, że poszarpie konwencjonalną bibułę emigracyjną. Do najlepszych rzeczy jakie drukowała „Kultura”, należał „Ghandi” – tak nazywam to opowiadanie Bobkowskiego, nie pamiętając właściwego tytułu. Ten Ghandi – przewzisko nadane jakiemś niedoświadczonemu człowiekowi, wyciągnętemu zapewne ze wspomnień Bobkowskiego – uciekł z Polski. Trześ-

zjologii?

sferę szacunku dla matek, posiadających nieslubne dzieci. atmosfery szacunku dla związków, opartych na uczuciu. Oto nowa, trudna droga, na jakiej musi się rozwijać nasza moralność, odcinając się swoimi ocenami od lajdactwa i wyuzdania, ale nie sprowadzając do ciasnej, wstecznej parafrazyszczyzny, odrzucając parafrazyszczyzną, ale nie schodząc na pozycję „wolnej miłości“.

Wszelkie uporczywe nie dostrzeganie moralnego i ideologicznego aspektu spraw obyczajowych, rozważanie ich w kategoriach fizjologiczno-ekonomicznych jest rezygnacją z najcenniejszego założenia naszego ustroju: ucziłowienia stosunków między ludźmi i ich samych,

Danuta Zabłocka

Do Redakcji

„Nowej Kultury”

Zamieszczając w n-rze 36 „Nowej Kultury” wiersz Sierpińskiej pt. „Pocniat dla młodych”, redakcja zapatrzyła go zastrzeżeniem: „Ujęci żarliwością nadeślanego utworu... postanowiliśmy go opublikować pomimo niedostatków formalnych i chropowatości”.

Uw. um. że redakcja —

pod tym względem należy ocenić „Poe-
mat dla dorosłych“ Ważyka. Nie jestem
znawcą i nie mogę w tej sprawie zabie-
rać głosu — przynajmniej publicznie.
Jedno jest, moim zdaniem, bezsporne:
spór Ważyk — Sierpińska jest sporem o

czyć emigr

ze str. 2)

cią całej opowieści jest jego rozmowa z przyjacielem w Paryżu, długa, przejmująca, wpisana w noc-

ny krajcażca Paryża. Rozmowa, jak rozumie czytelnik, dla Polski negatywna. I oto Bobkowski-autor, Bobkowski-przewinny komunizmu dokonuje w tym miejscu pięknego autorskiego czynu: nazajutrz jego Ghandi przychodzi się pożegnać — jednak wraca do Polski. Stać było Bobkowskiego na to mądre, z piersarskiej intuicji płynące „jednak”. Znałem na emigracji ludzi, którzy od tej przypowieści Bobkowskiego, od tego „jednak” — jak od pewnego punktu orientacyjnego — zaczęli myśleć i niektórzy z nich domyślić sprawę do końca. Bobkowski wie, jak trudno jest domyśleć sprawę do końca. Zwykle wyłazi z człowieka jakaś leniwa bestia, jakieś pierwiastkowe draństwo, które odgryza myślenie głowy i życie znowu jest — głupie...

Ze wzruszeniem odkrywałem teraz Bobkowskiego, który domyślił się aż do — amerykańizmu. Miałem osobiste poczucie straty, choć nie znam go osobiście. Bobkowski nienawdzi dziś już nie tylko komunizm — nienawdzi Europy. Z drażliwością młodego kota zakochuje się w drażliwej, luksusowej, antylebskiej swobodzie amerykańskiej. Rozeznając nowego Bobkowskiego, posługując się pogardzanym przezeń intelektem europejskim i plebskim, i widzę go dość ostro. Już dziś nie stać Bobkowskiego na dawne paryskie „jednak” — to jasne. Jakis sportowy, potencjalny faszyzm kipi w tym człowieku. Oto on:

„...Od roku usamodzielniliśmy się, przestałem być białą nędzą wyzyskiwaną przez kolorowych i żyję już tylko z moich modeli, ale trzęba znowu skoczyć naprzód!... „Po sześciu latach wspaniałej walki życie nie mogę już mieć nic wspólnego z tym otumaniającym onaniowaniem się społecznym!... „Kali i Nel zaczęli szanować naprawdę Stasia Tarkowskiego od momentu, w którym napierw zastrzelił lwa, a potem Beduinów. Gdy myślę o przyszłości naszej cywilizacji, o Kalich, którzy spoglądają na nich ze wszystkich części świata, wydaje mi się, że ten jeden epizod z „W pustyni i w puszczy“ jest wspaniałym skrótem istoty zagadnienia!... „Nalot jest piękny, atakują stary fort, siedziebą intendenty. Thunderbolty spadają jak jastrzębie, pigułka odrywa się i leci parabola coraz szybciej. Brzdęk. Przykro mi, ale cięsz się!... „Taka kultura? Gdzie? „Smutni, z technicznym poczuciem winy, bez serca, nudni, wiecznie niezszczęśliwi. A kupuje sobie jeden z drugim zegarek za dolara, to bezdiesz potem ciągle, co minuta szczęśliwy, że to jeszcze chodzi!...“

Powódów do zgrzyzotów jest rzeczywiście nie mało! Ale zgrzyota zgrzyzości nie równa: jest taka płażliwa, histeryczna, opuszczonymi rekami — ta komunistyczna, przy której człowiek obawia się skaleczyć palec, bożycie się do rąk. Tak jak nie znał Złazów i nie rozumiał dnia dzisiejszego naszego narodu, go bezkrytycznie i patetycznie afirmował — tak jak dawniej „niedokoło mi było do Warszawy” — tak dziś daleko mu do Nowej Huty.

Ałina Osiańczak-Molska

Istotnie, uważamy, że dopisek ten był nietaktem wobec autorki, za co ją przepraszamy. Red.

Sprostowania

W artykule Salomona Łaskusa „O hotelach robotniczych bez ośnek” (NR 10, str. 36) w kolumnie 2, szpalta 3, wiersz 8-11 od dołu, na skutek opuszczenia „nie”, zniekształcony został sens zdania, które powinno brzmieć: „Wiele Hotelów Robotniczych i Domów Młodego Robotnika powierzono tudzież nie powołamy do tak odpowiedzialnej pracy”.

W artykule Juliana Przybosa „O Józefie Czechowiczu” przez niedopatrzenie w zdanie pierwsze wstawiono słowo: „widok ładny”.

W poprzednim numerze „Nowej Kultury” w artykule T. Konwickiego „Nad książką emigracyjną” zniekształceniu uległ tytuł książki J. Jasieńczyka, który winien brzmieć: „Po Narwiku był Tobruk”.

rację

Tak. Tadeusz Borowski napisał:

Jestem poetą. To znaczy nazywam rzeczy imieniem: na świat mówię – świat, na kraj – ojczyzna, czasem mówię chmurnie na durniów – durnie.

Bobkowski też lubi nazywać rzeczy imieniem i to jak jeszcze, więc się nie obrazi za tę lotną konfrontację jego tekstu z tekstem Borowskiego. Przypomina mi się również pewien list Borowskiego do narzeczonej z r. 1946: „„Powinnaś być z nami. Nie wierz temu, co piszą o Polsce... Pisałem ci, dlaczego wróciłem. Powtórzcie ci raz jeszcze... Uważam, że dobrze uczyniłem. Ten kraj trzeba zobaczyć, żeby weni u-wierzyć. I żeby wróciła miłość do czegoś, co ogólnikowo nazywamy Polska.“

Początkowo chciałem to przeplatać jako motło tych artykułów o emigracji. Psychologicznym motywem emigracji jest na pewno to właśnie, że stosunek uchodźców do emigracji jest stosunkiem do ogólnikowej Polski, której nie mają danych ani siły wyobrazić konkretnie. Boją się nowych, związanych z ustrojem, konkretno, które ujrzą w Polsce, boją się materialnego zeteknięcia z jakąś nieznana instytucją, jak Rada Zakładowa, czy Spółdzielnia Produkcijna czy może nawet Bar Mleczny — bo tego nie są w stanie wyobrazić. Wolą tęsknić do ogólnikowej Polski — naturalnie nie mówię o tych na emigracji, którzy mają konkretny przedmiot tęsknot, choćby te żółte bryczki i pobielane sławki.

I ta jest różnica między rzeszą emigracyjną a Bobkow-kim, że ten zamienił ogólnikową Polskę na konkretny amerykańszyn. W ten sposób Bobkowski przestał tęsknić. Gdyby emigranci naśladowali Bobkow-skiego, zapewne również przestaliby tęsknić, co — z punktu widzenia medycyny — jest dla człowieka korzystniejsze, bo tęsknota w perma-nencji, tęsknota ogólnikowa — nie jest stanem twórczym. Ale ze stano-wiska narodowego trzeba jasno po-wiedzieć: to będzie oznaczać, że już raz na zawsze wyjdą z Polski, Pol-ska przestanie być im potrzebna. To warto, przed ostateczną decyzją, je-szcze raz przemysleć. Powtarzam z przekonaniem: trudno jest domyśleć pewne sprawy do końca, zwykle wyłazi z człowieka w pewnej chwili jakaś leniwa bestia, jakieś pier-wiastkowe drństwo, które każe myśleć zwrócić i robić pieniądze w Guatemali. Może to być propo-zycja indywidualna. Jako propo-zycja narodowa jest to bez sensu — naród pozostanie na miejscu.

Zbigniew Florczak

(Dokończenie ze str. 2)

rodziny, młodzież takowana przez świat starego świata. Wchłamiastowej poniekąd świadomego prodków antykon-

Wiele jest jeszcze aby uczulowić ją panując.

Mówił Lenin — ga zaspokojenia normalny w nor- chę położyć się na pedzie pil z kaku- e szklanki, które dziesiątków warg?

jest strona spo- y jest sprawa imo- jest sprawa trze- czej, nowe yje sprawa spo-

łeczna, powstaje obowiązek wobec ośół".

Razi mnie minimalizm, czy śępotą etyczna, nie pozwalając ludziom odpowiedzialnym dostrzeć nowej miary godności. Jaką dajemy człowiekowi. Razi mnie ta abso- lutna obojętność organizacji partyj- nych w niektórych biurach na nie- rzadkie przecież fakty „dorabiania” przez urzędniczą prostytucją, ta to- lerancja rozładających starszych panów na dyrektorskich stanowi- kach, którzy upatrują sobie w wi- atymych celach znajome wśród naj- młodszych pracowni. Nie wolno „rezygnować wobec żadnej grupy lu- dzi i w żadnym zakłádzie pracy z obowiązku tworzenia właściwej atmosfery — atmosfery nie godze- nia się z łajdactwem i rozwiązło- ścią, z drugiej strony zaś — atmo-

sferę szacunku dających nieślu sferę szacunku d- tych na uczuci- droga, na jakie- nasza moralno- swoimi ocenami- uzdanja, ale nie- cianiej, wstęcn- odrzucając paraf- schodząc na po- łosci".

Wszelkie upo- ranie moralnego aspektu spraw- ważanie ich w- ężczo-ekonomicz- cja z najcennie- szego ustroju: t- sunków między- mych,



— Mój Boże, jak to życie prędko leci. Już jesteśmy w trzeciej klasie.

DLA PANÓW



Bez podpisu



— Jak to ludziom nie można wierzyć. Okazuje się, że ta Zośka z II B też kocha Gérarda Philipe'a.

Rys. Janusz Stanny

JAN HUSZCZA

List z wczasów

Wzburzone morze, jeziora ciche...
Fale i dale!
To świeci słońce, to huczy wicher.
Ach, jak wspaniale!

Lecz co mi z tego, gdy jestem w biedzie:
kawał mieszcucha
o mój tu pobyt ciągly spór wiedzie
z kawałem zucha.

„Hej, nad jezioro! Wynajmij łódkę!”
wzywa głos zucha.
Mieszczuch: „Na kawę chodźmy i wódkę”
szepcze do ucha.

„Napisz do szefa — zuch podbechtuje —
że jest bydlakiem,
że skupia dziwki, przeróżne szuje
pod swoim znakiem...”

„A co się z twoją karierą stanie,
beztroski błaznie?!”
Mieszczuch się pieni i wymyślanie
słyszę wyraźnie.

„Zostaw tę panią, przestań udawać,
przecież to klempa!”
„Jegoż mąż jest ważny! Zrozum: Warszawa!
Cóż więc, że tupa?!”



Rys. Lech Zahorski

„Precz z poprawnością, baw się jak dziecko,
fajnie tu w Łebie...”
„O personalnej pomnij ankiecie!
Patrz na ciebie!”

„Że trochę zimno, to nic nie szkodzi,
wykap się, bracie...”
„Chcesz się kataru nabawić w wodzie?
Włóż w ciepłe gacie!”

Tak mieszcuch z zuchem stale się kioci,
cholerne wczasy!
Co krok rozterka, spory — a tu ci
fale i lasy!...

Gdy, chcąc już usnąć, leżę w pościeli
— morza nie słucham,
lecz jęczę żeby diabli raz wzięli
tego mieszcucha!

ARKADIUSZ WASILIEW

W pewnym mieście

W mieście był tylko jeden pisarz — Sergiusz Kapustin. Układał nowele i krótkie opowiadania dla starszych dzieci, ciesząc się z tego, że i dorośli czytali go również.

W prywatnym życiu był ceniony za pogodny charakter i dobre serce, toteż wybierano go chętnie do prezydiów na wszelkich zebraniach. Przez pewien czas był nawet radnym miejskim. I żyłby sobie zapewne w spokoju i niezachwianej równowadze — gdyby nie krytycy.

Krytyków w mieście było trzech: Iwan Koldobin, Aleksy Trynow i Dymitr Osokin. Pierwsze skrzypce w tym tercecie grał surowy Koldobin. To on właśnie jasno postawił sprawę: „Trzeba raz z całą stanowczością zapytać Sergiusza Kapustina, czemu nie bierze się za wielkie, monumentalne dzieło?” I Kapustin wziął się. Pewnego dnia zapowiedział niebacznie, że przystępuje do zbierania materiału do większej powieści, trylogii z życia miejscowych chałupników.

W międzyczasie zaś pisał nadal swe opowiadania. Ale od czasu tej zapowiedzi każdy jego krótszy utwór trafiał w potrójny obstrzał. Najpierw Koldobin walił w niego jak z armaty w centralnym piśmie. Potem uderzał Trynow — w młodzieżowym. Ostatni zaś roznosił pisarza w pył Osokin — przez radio.

Koldobin w artykule „Nieodtrzymana obietnica” pisał: „Sergiusz Kapustin znów nas rozczarował. Zamiast zapowiedzianej powieści wystąpił z marnym szkicem”. Aleksy Trynow w notatce „Daleś słowo — dotrzymaj!” wołał: „Znów drobny utwór! Jakież to smutne!” Osokin przez radio denerwował się: „Płynnie nasz autor do swojej powieści i nie może dopłynąć”.

Trwało to przez trzy lata. Wreszcie Kapustin straciwszy cierpliwość sam napisał krytyczny artykuł pt.: „W czym tkwi sedno sprawy?” I wydrukował go.

Właściwie to wszystko. Od tam nie było już w mieście pisarzy. Żyje tam obecnie czterech krytyków.

Przełożył W. Bor.

MICHAŁ PUSTYNIN

KRYTYK NA ROZDROŻU

Tak, z jednej strony myśl świeży ma przawiew,
A z drugiej strony — czytelnik nic nie wie.

Wiersz ten ma patos i żar — z jednej strony,
A z drugiej — jakiś niedowarzony...

Styl z jednej strony godzien zachwytu,
A z drugiej — wiele starych w nim chwytów.

Cóż, autor z jednej strony pokazał
współczesność — z drugiej strony zamazał.

Z jednej strony strofy niektóre
są śmieszne, a z drugiej — bardzo ponure.

Z jednej nas strony rozpala do głębi
żar poetycki — a z drugiej ziębi.

Taki to prosty wiersz z jednej strony,
A z drugiej — cały jest wykrzywiony.

*

Zal mi cię bardzo, mój czytelniku,
Ze musisz słuchać takich krytyków,
Którzy chcą z jednej strony być dranie,
A z drugiej — lubią podlizywanie...
W sumie — nie jesteś zadowolony
I z jednej strony, i z drugiej strony.

Przełożył Włodzimierz Boruński

STANISŁAW JERZY LEC

Myśli nieuczesane

Nieprawdą jest, że fabrykanci
broni pragną, by każda ich kula
zabijała człowieka! Zmniejszoby
to przecież do minimum ich docho-
dy!

Personifikujemy wiele części cia-
ła i na odwrót — porównujemy wie-
le osób do części człowieczego kor-
pusu. Co za nieludzka megaloma-
nia myślenia antropocentrycznego!

W epoce romantyzmu ludzie bali
się, by nie postradać swego cienia
(by nie stać się Schlemihlami). W
innych epokach na odwrót — ludzie
bali się własnego cienia.

Padł na niego cień podejrzenia.
I w tym cieniu się ukrywa.

Cóż serce — to przesąd. Przeko-
naz się o tym gdy umrzesz.

Pluskwy gnieżdżą się nawet w
ramach obrazu świata.

Artykuły publicysty X-a są ar-
tykułami pierwszej potrzeby. Po-
trzebne są psu na buty.

Kategorycznym nakazem mora-
lism jest ustępowanie miejsca ka-
lekom w pojazdach i miejscach pu-
blicznych itp. Ale dlaczego mamy
ludziom pozbawionym poczucia hu-
moru ustępować miejsca w s z e-
d z i e.

Współczesny Szef-słońce mówi:
L'etat c'est moi! — Etat to ja!

Trzeźwy rozum upija się kilkoma
kropelkami szczęścia.

Strzeż na głowie i dziwi się, że
świat widzi do góry nogami.

Nieogłowiec! Wywiódł ją w po-
le nie bacząc na to, że dawno już
zżęta zboże

Z MIEJSC STOJĄCYCH

Wykaz pewnych osób po raz pierwszy publikowany

Na ogólne życzenie czytelników przedsta-
wiam rozszerzoną listę osób, które nie
powinny wypowiadać się kategorycznie na
temat literatury:

- Ci co nie umieją czytać.
- Ci, którym słoń na ucho nastąpił.
- Żony i konkubiny intelektualistów.
- Panowie, którzy stale cierpią za cały na-
ród, to znaczy za 27.042.568 obywateli
Polski Ludowej.
- Kasjerzy wydawnictw.
- Młodzież w wieku pokwitania.
- Ci co mówią: „cholera, ale ten Erenburg
dawniej pisał!” a piszą: „Nieustanny, sta-
ły rozwój Ilii Erenburga...”
- Ci co w cudzych książkach i artykułach
wykreślają niestosowne zdania.
- Tacy, którzy nie śmiejąc się — są pewni,
że mają w tym rację.
- Urzędnicy na odpowiedzialnych stanowis-
kach.
- Paniusie pisujące listy do przystojnych
autorów.
- Ci co mawiają: „Ja, panie dziejku, tej ich
współczesnej literatury w ogóle nie czy-
tam.”
- Ci co szlochają słuchając walcu Brahmsa
wykonywanego smyczkiem na ciesielskiej
pile.
- „Oddani przyjaciele” żyjącego autora.
- Piszący po kryjomu.
- Ci co pragną pomóc pisarzom.
- Ci co są mądrzejsi od bliźnich.
- Osobnicy wzruszający się majestatem ar-
chitektury MDM.



Rys. Lech Zahorski

- Esteci z Kobyłki.
- Oraz ci wszyscy, którzy mają okropną
ochotę powiedzieć coś kategorycznego.

Tadeusz Konwicki

P. S. Przy okazji pragnę podziękować prof. Zygmuntowi Kałużyńskiemu za pomoc w zebraniu danych statystycznych oraz za bezinteresowne przejrzanie korekt wykazu.